

ODDRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II

Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 27 października 1946 r.

Nr 37 (48)

Alfred Ziętowski

Współżycie osadników na Pomorzu Zachodnim

Osadnictwo na Ziemiach Odzyskanych wytwarza nie tylko pewne stany gospodarcze, ale i społeczne. Wśród tych ostatnich ważnym elementem jest skład regionalny osadników, odzwierciedlający się we współżyciu osadników między sobą. Współżycie to bowiem kształtuje przebieg zespalania się kulturalnego i etnograficznego wielomilionowej masy osadniczej, co ma dopiero wytworzyć polskie społeczeństwo na Ziemiach Odzyskanych. Dotychczas tego społeczeństwa jeszcze nie ma, a istnieje tylko wrzące zbiorowisko najrozmaitszych grup etnograficznych z całej Polski. Winno ono być zbadane, zanim narysujemy plan scalenia kulturalnego osadników na Ziemiach Odzyskanych. Nieznane są jakiegokolwiek obecne badania czy prace, zmierzające do społecznego uchwycenia masy osadniczej i odnośnie placówki naukowej, np. Instytut Socjologiczny w Poznaniu, mają w tym względzie wdzięczne pole do działania.

Chcę podać kilka informacji co do współżycia osadników w jednej tylko dzielnicy Ziemi Odzyskanych, a mianowicie na Pomorzu Zachodnim, za którymi zapewne pójdą opisy innych dzielnic, narysowane przez miejscowych działaczy. Podkreślić jednak trzeba, że niżej opisane dane nie są bynajmniej podmiotowymi wrażeniami czy przypuszczeniami autora, lecz są zebrane na podstawie wyników w tym celu dokonanej ankiety wśród wszystkich powiatów województwa szczecińskiego (w stanie sprzed jego powiększenia o sześć wschodnich powiatów). Dlatego nie uwzględniono zagadnienia ludności tubylczej, której prawie że nie było w województwie według stanu dotychczasowego.

Na samprzód podkreślić należy, że stosunki własnościowe na Pomorzu Zachodnim często nie sprzyjają zgodnemu współżyciu sąsiedzkemu, a to wskutek znajdowania się więcej niż jednej rodziny na jednym gospodarstwie. Ponieważ bowiem wpływ osadników na Pomorze jest o wiele większy od ilości wolnych gospodarstw, a z drugiej strony jest dużo wielkich gospodarstw, które mogłyby utrzymać więcej niż jedną rodzinę, przeto tamtejsze władze osadnicze posiadały w wielu wypadkach po dwie, a nawet i trzy rodziny na jednym gospodarstwie. Mimo, iż były do tego zmuszone względami gospodarczymi, wywołały one nieuchronne zastrzeżenie stosunków między rodzinami współmieszkającymi, gdyż chłop polski nie jest przyzwyczajony do dzielenia się posiadaniem zagrody i roli. W tych warunkach nie można doprawdy dziwić się, że współmieszkańcy zagrody żyją w stanie nieustannej wojny domowej.

Drugim powodem niesnasek sąsiedzkich są antagonizmy dzielnicowe, przywiezione ze Ziemi Starych. O ile jednak tam były one tylko w umyśle, gdyż poszczególne grupy plemienne żyły obok siebie na dość izolowanych terenach, to na Ziemiach Odzyskanych znalazły się w bezpośredniej bliskości, zagroda obok zagrody, wieś obok wsi, powiat obok powiatu. Nigdzie bowiem nie uzyskano jakiegokolwiek wyłączonej regionalnej w pewnym terenie, co było zamiarem planu regionalnego osadnictwa rolnego (Biura Studiów Osadniczo-Przesiedleńczych w Krakowie). Wskutek tego antagonizmy dzielnicowe miały sposobność do bezpośredniego uzewnętrznienia się, starć, kłótni, sporów itp. Stąd więc antagonizmy te stały się nagle ostre, żywe, codzienne i bolesne. Ba, nawet wszelkie różnice poglądów czy działań (między człon-

kami różnych grup etnograficznych), nie mające wcale tła dzielnicowego, zostały — wskutek pewnej złej woli zainteresowanych — przeniesione na płaszczyznę dzielnicową i w tym kierunku oceniane i rozdmuchiwane. Ta więc bolesna współżycia sąsiedzkiego stała się obecnie najbardziej piekąca.

Przejdźmy teraz do szczegółowego opisu poszczególnych grup regionalnych w świetle wyników ankiety.

Repatrianci z Rosji są określanii jako ustepliwi, zgodliwi i nieśmiali. Wyróżniają się nieco Wilnianie w sensie dodatnim. Ogólny ich zmysł organizacyjny jest słaby, tak że nie tylko nie garną się do innych, ale nawet sami się nie organizują. Z małej ilości zrzeszeń i spółek, którymi są związani, większa część została powołana do życia przez ludzi z innych grup lub przez władze.

Wielu repatriantów otwarcie liczy się jeszcze z możliwościami powrotu na swe ojczyste tereny i wskutek tego ocenia stosunki jako prowizorium, zniechęcając się przez to do intensywniejszej pracy. Określa się ich często jako ospałych i nie mających wewnętrznej podniety do własnej inicjatywy. W stosunku do innych grup zachowują się na ogół nieufnie, izolując się od nich, a nawet traktując je wrogo. To stanowisko tłumaczy tym, że inne grupy regionalne zajęły gospodarstwa poniemieckie, które należą się im, jako tym, którzy pozostawili za Bugiem swoje własne gospodarstwa.

Osadników z Małopolski jest na Pomorzu Zachodnim zbyt mało, aby można było o nich powiedzieć cokolwiek uogólniającego.

Osadnicy z b. Kongresówki cieszą się dość niejednorodną opinią, tak dobrą, jak i złą. Przykładem niech będzie wypowiedź z powiatu nowogardzkiego:

„Pracują ochoczo. Współżycie między nimi jest. Organizują się w związki gospodarcze, spółdzielcze i polityczne. Ustosunkowanie życiowe, wzajemna pomoc sąsiedzka. Osadnicy, którzy pozostawili jakieś drobne gospodarstwa, nie przywiązują się zbyt do tutejszego terenu. Trochę elementu szabrowniczego. Element ten zaczyna odpyływać Naogół typ osadnika dobry”.

Często jedna opinia o tej grupie regionalnej jest wprost przeciwna. Np. zauważono: ci wszyscy osadnicy, którzy pozostawili u siebie jakieś gospodarstwo, na całym Pomorzu nie mają zbyt wielkiego przekonania do pracy i poprzednie gospodarstwo uważają za swe materialne oparcie, nie zaś gospodarstwo przydzielone. Podkreśla się też stale duży udział żywiołu szabrowniczego (w miastach tzw. „niebieskich ptaków“ warszawskich), oraz wielkie ambicje osobiste, te zaś powodują chęć bezwzględnego uzyskiwania godności wiejskich choćby po trupach i poprzez nieustanne intrygi. Zaznacza się nadmierne zamięłowanie do zewnętrznej strony życia, nieliczenie się z groszem (pijatyki, stroje), nieraz pochodzącym z ciężko uzyskanych kredytów dla osadników rolnych, zazdrość wobec majątniejszych. Pewna część niebardzo pilnuje swych gospodarstw, i albo je eksploatuje, albo „kombinuje“, zajmując się wtedy spekulacją lub pędzeniem wódki. Częste są wypadki całkowitego wyeksploatowania gospodarstwa, poczem uciekają lub przerzucają się do innego powiatu czy regionu z roszczeniami do władz osadniczych o nowy przydział gospodarstwa. Przyznaje się też tej

grupie wielką ruchliwość, ale nie zawsze w dobrym kierunku, łatwość dostosowania się do nowych warunków, jednak nieraz związaną z nadmierną giętkością charakterów.

Osadnicy ze Zachodniej Polski (Pomorze i Wielkopolska) mają o sobie opinię dość zgodną i znamienne. Przyznaje im się wielką inicjatywę gospodarczą, rzeczowe podchodzenie do spraw i wewnętrzną solidarność, nie wychodzącą poza ramy swej grupy. Dla nich jest też typowy, wysoki poziom kultury ogólnej, ale i przywiązanie do własnego zdania i niechęć do jego pośpiesznej zmiany. Są trudni do kierowania i niedostępni dla obcych, ale po uzyskaniu zaufania, wysłuchują przyjaznych zaleceń i są usposobieni przyjaźnie do innych. Mają duże wyrobienie społeczne, ale najchętniej poprzestają na członkach własnej grupy i tym samym izolują się od innych grup. Są świadomi swej wartości i dają to nieraz odczuć innym grupom, czym niechęć zrażają je do siebie. Są też wielkimi indywidualistami i przedstawiciele władzy jako tacy, im nie imponują, lecz dopiero wtedy, gdy mają słuszną i legalną za sobą, a potrafia ich o tym przekonać. W niektórych okolicach bywają wprost uważani za elitę osadniczą, tak przez samych osadników, jak i przez władze.

Względem osadników wojskowych na Pomorzu Zachodnim opinia jest również zgodna, ale wprost przeciwna od poprzedniej grupy. Można by przytoczyć dosłowne oceny. Oto wypowiedź z powiatu kamieńskiego: „Bardzo trudnym elementem są osadnicy wojskowi”.

Antagonizmy między różnymi grupami regionalnymi (opisane poprzednio) nie okazały się tak silne, jak między narodami, a Ziemi Odzyskane potrzebują dla swej spójności zupełnej jednolitości narodowej.

Ujmując całość zagadnienia opinii o osadnikach i ich współżyciu sąsiedzkim, trzeba się jednak zastrzec, że antagonizmy nie zostały zaobserwowane we wszystkich powiatach województwa, a poza tym nie mają one źródła czysto regionalnego. Może to się na pozór wydawać dziwne, ale w rzeczywistości jest ono inne, a mianowicie: zawiść materialna i poczucie niż-

Perspektywa Odry

Wiele się mówi i pisze w Polsce na temat Łużyc. Czy to jednak w jakimkolwiek stopniu polepszyło sytuację Łużyczan, czy przybliżamy im tym wolność? Zdaje się, że nie. Łużycanie jak dotąd cierpią, jak dotąd są przez Niemców terroryzowani, jak dotąd walka o najdrobniejsze swobody narodowe kosztuje ich wiele sił a także i niejedną ofiarę życia. Ostatnie doniesienia z Łużyc mówią, że w powiecie wojereckim zamordowani zostali dwaj działacze łużycy. Sprawcy, którzy zostawili przy zabitych karteczkę z napisem: „Zabici za chęć oderwania Łużyc od Niemiec“ — nie zostali wykryci. Najlepsza w chwili obecnej poetka łużycy, Dolnołużyczanka Mina Witkojc, aresztowana była niedawno przez policję niemiecką za rozwieszanie plakatów łużycy, które przeszły przez cenzurę władz okupacyjnych.

I przykre jest w tym wszystkim to, że interesując się Łużycami tak jak tego nigdy dotąd nie czyniliśmy w historii, nie potrafimy ulżyć ich ciężkiej doli. Nie potrafimy zapewnić im jakichś określonych zasadniczych swobód narodowych. Nie umiemy przeciwdziałać dalszej germanizacji Łużyc. Bo germanizacja Łużyc trwa. Wielkie rzesze Łużyczan spodziewały się w roku ubiegłym istotnie jakichś przemian a tymczasem wrócił stary ciemieńca, przybrałszy inną tylko barwę partyjną i ideową. Nic dziwnego, że widoczny jest zanik nadziei, tej samej, która utrzymywała ten maleńki naród słowiański w minionym tysiącleciu historii. Nic dziwnego, że ludzie wypierają się Łużyckości, skoro za nią trzeba płacić dalsze ciężkie ofiary.

Cała nasza akcja prołużycycka musi być przedstawiona na zupełnie inne realne tory. Wstępem do tego są utworzone przez P. Z. Z. stypendia dla studentów łużycyckich. Do akcji prołużycyckiej wciągnąć należy także czynniki odpowiedzialne za bieg naszej polityki zagranicznej. My powinniśmy także wziąć w swe ręce propagandę łużycycką na terenie międzynarodowym, jeśli Łużycanie nie mają na to ani ludzi ani możliwości.

Nie trzeba się w tej sprawie odwoływać do sumienia świata, bo takiego sumienia nie ma. Jest dość argumentów politycznych i gospodarczych, które przemawiają za wolnością Łużyczan. Te argumenty trzeba pokazać światu. I w tym kierunku działać powinny polskie ośrodki łużycoznawcze.



Obrazy Szczecina: Wały Chrobrego — Zarząd Miejski.

szości co do poziomu kultury rolnej, a więc oba powody są gospodarcze. Np. zawiść „Kongresowiaka“ do Wielkopola-
mina nie jest zawiścią czysto dzielnicową, lecz zawiścią gorzej zagospodarowanego do lepiej zagospodarowanego. Jest to co
prawda, pozorny paradoks, ale tak osad-
nicy, jak i władze osadnicze nie bardzo
sobie zdają sprawę z tego rozróżnienia.

Dlatego też głównym środkiem na usu-
nięcie sporów dzielnicowych osadników
będzie ujednoczenie warunków gospodar-
czych (oczywiście od gorszego do lepsze-
go). Gdy poczną zacierać się różnice go-
spodarcze, poczną się też zacierać różnice
zdań. Np. wyraźnym dowodem tego było
wyłonienie się wspólnego poglądu wszyst-
kich grup regionalnych na tak ważne za-
gadnienie osadnicze, jak kontyngenty rol-
ne (uważano zgodnie, że na Pomorzu Za-
chodnim nie powinno być ich wcale, jako
na terenie o słabej glebie i niezago-
spodarowanym, wymagającym raczej po-
mocy), wytwarza też wspólne zdanie, a
mianowicie wspólne narzekanie. **Uzgodnie-
nie zaś poglądów wśród różnych grup re-
gionalnych winno nastąpić nie na tle
wspólnego narzekania, lecz wspólnego za-
dowolenia z wyników.**

Zresztą także i inne czynniki przyczy-
niają się zwolna do stopniowego zaciera-
nia różnic regionalnych. Mianowicie coraz
częściej zawierane są małżeństwa „mię-
dzydzielnicowe“, które spajają rodzy-
nki dotychczas przegrodzone niechęcią dziel-
nicowości. Poza tym sami osadnicy przy-
zwyczajają się do nowego dla siebie tere-
nu, początkowo tak obcego. Same władze
osadnicze również starają się zacierać te
różnice przez możliwe jak najrozsawniejsze
traktowanie wszystkich grup osadniczych.
Co prawda, na prowincji zdarzają się nie-

raz jednostki, które rozumieją swą władzę,
jako możność popierania swej grupy re-
gionalnej. Temu zjawisku przeciwstawia
się fakt coraz liczniejszego udziału w skła-
dzie personalnym władz przedstawicieli
wszystkich grup regionalnych. **Nie brak-
nie więc czynników, spajających zwolna
w jedną masę to kłębowski najrozmaits-
szych wartości i właściwości.** Oczywiście
w interesie ogólnonarodowym leży przy-
śpieszenie tego procesu, aby na Ziemiach
Odzyskanych powstało jak najrychlej
zwarte i jednolite społeczeństwo.

Naświetlając ogólnie to zagadnienie,
podkreśla się potrzebę patrzenia na spory
osadnicze z wielką dozą wyrozumiałości
i pobłażania. Należy przede wszystkim
uwzględnić, iż osadnicy wojskowi przyby-
wali na Pomorze Zachodnie w bardzo nie-
równym czasie i w odmiennym stopniu
zorganizowania, i zastając gospodarstwa
różnie urządzone: od niemal nieruszonych
do zupełnie wyszabrowanych, a nawet
zniszczonych. Dlatego różne fale osadnicze
napotykały na różne trudności zagospoda-
rowania się i osiągnęły różny poziom kul-
tury rolnej, fale zaś opóźnione czasowo
mają obecnie powód do materialnej za-
zdrości wobec wcześniej przybyłych. To
zaś w uproszczeniu lub w niezrozumieniu
przerzuca się na płaszczyznę sporów re-
gionalnych. Inna rzecz, że te wzajemne
nieporozumienia powstają po prostu na
tle ubiegnięcia w szabrze lub z pijaństwa
i są przelotne.

Aczkolwiek więc współzycie sąsiedzkie
nie przedstawia się wesoło na Pomorzu
Zachodnim (jak i prawdopodobnie i w in-
nych dzielnicach Ziemi Odzyskanych) to
jednak ma poważne widoki uwzględnie-
nia. Oby to nastąpiło jak najwcześniej!

Stefan Sulima

Spotkanie ze Szczytnem

Ze względów technicznych artykuł ukazuje
się z pewnym opóźnieniem. Aczkolwiek przed
stawia on stan rzeczy sprzed kilku tygodni,
autor uważa umieszczenie go w tej formie za
celowe i niezbędne.

W chwili, gdy ze strony najwyższych czyn-
ników w państwie padają ważne słowa na
temat stosunku ludności napływowej do au-
tochtonów Ziemi Odzyskanych, gdy prasa nie-
miecka skrzętnie wychwytyje i rejestruje na-
sze potknięcia wobec nich, niezbędne jest
uświadomienie opinii publicznej o rozmiarach
szkod, jakie na tym odcinku zostały polsko-
ści wyrządzone przez różnego rodzaju szkod-
ników, choćby nawet wzmocniona działalność
władz sprawiła, iż niektóre lub nawet wszyst-
kie zawarte tu szczegóły, miały już tylko
znaczenie faktów historycznych.

Artykuł ten należy traktować nie jako
zamkniętą całość, ale na tle całego cyklu,
opowiadającego stosunki na Warmii i Mazu-
rach.

Właśnie Stefan Godlewski propagował
uwiecznienie na murach warszawskiego
Starego Miasta miejsc, które natchnienie
Prusa przeznaczyły na mieszkanie boha-
terów „Lalki“, gdy czytałem po raz któ-
ryś „Krzyżaków“. Goering połował wów-
czas w Białowieży, Goebbels kazał w
Warszawie, a Ribbentrop uśmiechał się w
„Światowidzie“, lustrując polską kompa-
nię honorową. Oficjalna przyjaźń kwitła
w całej okazałości. Była epokowa i wiecz-
notrwała. W niektórych kołach bluźnier-
stwem było wątpić o jej nieziszczalności.
W „Krzyżakach“ znajdowało się antido-
tum, niezbędne dla dopełnienia jednostron-
nego obrazu.

Wtedy bliżej zapoznałem się z Szczyt-
nem. Wyczytałem gdzieś, że w czasie prze-
róbek na tamtejszym zamku, znaleziono
loch wypełniony ludzkimi piszczelami i
zidentyfikowano go jako miejsce kaźni
żywcem zamurowanych.

„Niech was Bóg moc prowadzi. Szczyt-
no przed wami“ — mówił z kart książki
mazurski chłop do Juranda i zdanie to nie-
odmiennie kojarzyło mi się z szczycień-
skim lochem. Myślałem wtedy, że jeśli
kiedyś Polska wróci na pruską ziemię,
nie mniej aktualną, niż napisy Godlew-
skiego, będzie granitowa tablica, poświę-
cona bolesnej pamięci Juranda i Danusi,
którzy żyli wprawdzie tylko w wyobraźni
i natchnieniu, ale mieli żywe z krwi i ko-
ści prototypy i następców. Tam, gdzie „z
wysokiego okienka w przybramnej wie-
ży ozwały się jakieś zaledwie z początku
dosłyszalnie dźwięki lutni“, gdzie stał w
ból i poniżeniu Jurand, widziałem oczy-
ma pragnienia kamień, który na zawsze
zapieczętuje czas cierpienia i bezsilności
tej ziemi.

Daremnie szukam w Szczytnie krzyżac-
kiego zamku. Ludzie nie wiedzą o nim i
wytrzeszczają oczy ze zdziwienia. I moje
zdziwienie nie ma granic. Czyżby tak po-
tężny obiekt mógł zniknąć bez śladu?

Stoję pod „monumentalnym“ gmachem
starostwa szczycieńskiego, gdzie mi wska-
zano nazwisko przewodniczącego Powiato-
wej Rady Narodowej, Jana Liperta, jako
tego, który zna adres Reginy Linkowej i
nie mogę nadziei się wysokiej, masyw-
nej wieży tego na oko całkiem nowego
budynku. Jakiś Mazur pyka fajkę i spod
oka patrzy na potężne gmaszysko. Ryzy-
kuję jeszcze raz zapytanie o zamek.

„Tu był“ — odpowiada z flegmą autoch-
ton. „Ale go Niemcy w roku 1936 częścią
rozebrali, a częścią przebudowali“.

A więc pamięć Juranda i Danusi jest
w Szczytnie bezdomna.

Pukam do przewodniczącego Pow. Ra-
dy Narodowej jeszcze pod wrażeniem wiel-
kiego rozczarowania. Tu gdzieś był dzie-
dziniec, a z niego wchodziło się do sal, w
których Jurand przeżywał piekło cierpienia,
gdzie wołał i zaklinał dręczyciela córki:

„Bóg patrzy na twoją zdradę! Na rany
Zbawiciela, na godzinę śmierci twojej od-
daj mi dziecko!“

Mam jeszcze w oczach dramatyczny dy-
skurs Juranda z krzyżakami, zakończony
wybuchem rozpaczliwym strasznego męża, gdy
automatycznym ruchem otwieram drzwi.
Staję na progu i wpadam w nowe oszoł-
omienie. Nie wiem, jaki zmysł mi powie-
dział o tym, ale od razu spostrzegłem, że
w gabinecie przewodniczącego rozegrała
się również jakaś pełna napięcia scena.
Grupa Mazurów, jak to zaraz spostrze-
głem, otaczała ciasno biurko, wysunięte
ku środkowi pokoju i zasłaniała siedzą-
cego za nim człowieka. Jakies pytanie za-
wisło widać w powietrzu, bo wibrowało
w nim dźwięczenie ciszy, wśród której
moje wejście dokonało się niespostrzeże-
nie. Wśród milczenia z za biurka podniósł
się barczysty człowiek. W nabrzmiałą
oczekiwaniem ciszę wpadł trzask twardo-
go uderzenia pięści o drewniany blat
i słowa, które od razu nakazały czujność.

„Pytacie, jaka to Polska przyszła tu do
nas?“

Rzeczywiście pytanie było o niezwyklej
wadze. Przez chwilę zawahałem się, czy
się nie wycofać. Nikt nie zauważył mego
wejścia, ale zdaje się jestem tu intruzem.

Wacław Mrozowski

Przed zachodem

Biały Kamień potokiem zaszumiał
i na palcach podszedł cichutko
w stronę Solic —
tu piosenkę zanucił jak umiał
i przycałił się w cichym ogródku
do lic
i usnął.

Bo Kolejową dalej, gdzie blask
z pensjonatów wesołe rozmowy,
gdzieś orkiestry płacze się czar —
słońce włożyło na głowę odświętny, złoty kask
a Biały Kamień śpi, a gdyby podniósł głowę
pewnie z zazdrości by pękł,
że w Solicach wesoło, ruch, gwar,
roześmiane niebieskie oczy,
x par,
z których każda ma inny dźwięk
oczekuje nadchodzącej nocy.

A teraz kwadrans na szóstą —
spizowym echem odbił się wśród drzew
kościelny dzwon.
Pobożni spieszą ulicą pustą
jak stadka spóźnionych mew,
by osiąść przed nocą na maszcie.

Nagle długi, przeciągły huk,
to muezin tutejszy — sowa
zaprasza na nocny bal
w ogrodzie Zdrojowym na baszcie.

Ziemia odnalezionych przeznaczeń (4)

Najprawdopodobniej ma tu miejsce jakaś
odprawa czy konferencja, z której mogą
mnie łatwo wyprosić. Myśl o ucieczce
opuszcza mnie w chwili gdy padają dal-
sze słowa z za biurka, a jakiś nowy in-
stynkt każe mi sięgnąć po notes. Jaka
szkoda, że nie umiem rysować. Obraz jest
zupełnie na miarę talentu nowoczesnego
Matejki i wizji sejmowego kazania Skargi
przeciw szeroko rozplenionej krzywdzie
i nieprawości.

W kole chłopskich twarzy przykuwa u-
wagę okrągła, lysa głowa, przecięta nad
czołem długą blizną, o której zawodowym
pochodzeniu mówi błękitny zaciek. To na-
 pewno nie głowa biurokraty. Sposób mó-
wienia twardy i lakoniczny, ale zacięcie
oratorskie, dla którego porównań trzeba
by szukać chyba w przeszłości. Prostota
i celność słowa zdumiewająca, nieporów-
nana odwaga cywilna. Głos bez afektacji,
mimo to nabrzmiały bólem i pasją.

Zebranie poświęcone jest niewłaściwe-
mu stosunkowi napływowej ludności i niż-
szych lokalnych władz wobec autochtonów.
Ci ludzie, którzy otaczają przewodniczą-
cego, przybyli ze skargami na złe trakto-
wanie, na nadużycia, na rabunki, oszu-
stwa, gwałty i własną bezsilność. Robi
się z nich Niemców, a potem osadnik, wójt,
milicjant i zwykły szabrownik odmawiają
im wszelkiego prawa do normalnego ży-
cia.

Starszy już chłop, nie bacząc na brak
konia, zaprzęgnął wiosną rodzinę do płu-
ga i zorał 13 pruskich morgów ziemi. Cis-
nął ostatnie ziarno w glebę i czekał. Przed
kilku dniami zebrał z pola i złożył plon
w stodole. Rano nie zostało ani ziarenka.

Innego wójt wciągnął na listę Niemców,
bo miał kogoś na jego gospodarstwo. Nim
sprawa się wyjaśniła, gospodarstwo jego
zostało splądrowane.

Jeszcze innego pobito i zabrano mu
ostatnie prześcieradło. Dzieci śpią na go-
łej słomie, a mimo to nie czuje się bez-
pieczny, bo nędra jego rozwściekla zuch-
wałych „szabrowników“, którzy nie wie-
rzą, by już niczego nie miał.

Kto inny zachował resztę maszyn mle-
czarskich i strzegł jak oka w głowie. Nie
zdołał jednak ustrzec przed soltysem, któ-
ry „po przyjacielsku“ zaofiarował się
przechować maszyny u siebie aż do uspo-
kojenia stosunków i w naturze spłacać za
ich używanie. Chłop uwierzył i oddał.

Przez kilka dni dostawał trochę odchu-
dzonego mleka, ale po kilku dniach oka-
zało się, że maszyny jego są już „za mie-
dzą“.

„Pytacie mnie: macie jakie prawo w
Polsce? — woła Lipert z bezsilną pasją. —
Pytacie, gdzie macie się podziąć i czy iść
za Odrę?“

„Ludzie, ja nie wiem czy się diabeł w
to wszystko wdał, czy co! Tu nasza zie-
mia, tu nasze ojce, tu nasze groby, tu na-
sze miejsce!“

W kieszeni mam egzemplarz „Wiadomo-
ści Mazurskich“ (nr. 183), kupiony w Ol-
szynie pierwszego dnia mego pobytu.
Przerzuciłem go obojętnie, piąte przez
dziesiąte przeglądając sprawozdanie z W.
R. N. Obecnie widzę, ile i jakiej prawdy
zawiera ustęp z protokołu Rady i nagłó-
wek: „Pozbyć się szkodników, odzyskać
Mazurów“.

„Zagadnienie kontroli aparatu państwo-
wego — powiada protokół — decyduje o
przyszłości Polski. Ludzie na stanowiskach
w większości wypadków nie dorastają do
swoich zadań“.

W chwili gdy Lipert siada za biurkiem,
podchodzi do niego i prosi o rozmowę o
miejscowych stosunkach. Znow czuję na
sobie badawcze spojrzenie miejscowego
człowieka.

„Dobrze, ale teraz nie mam czasu. Niech
pan przyjdzie po urzędowaniu. Zaczekam
po trzeciej“.

Biorę adres Linkowej i wychodzę ze sła-
rostwa. Rzeczywistość odsłoniła przede
mną jedną z ponurych dla reszty kraju ta-
jemnic. Wstyd mi, że bałamuciliem się ta-
blicami ku czci cierpienia, które trwa na-
dal, choć nie ma już dawno szczycieńskie-
go zamku i niemieckiego ciemiężcy.

Popołudniowa rozmowa ma charakter
ściśle rzeczowy. Poranne roznamiętnienie
opuszcza Liperta. Robi wrażenie zmęczo-
nego, ale jest skupiony i czujny. To, co
napiszę nie odnosi się tylko do niego, ale
do wielu miejscowych działaczy, z któ-
rymi miałem możność się zetknąć. Są to
ludzie z prawdziwego zdarzenia. Nie opę-
tani żadnymi, choćby i szlachetnymi egzal-
tacjami, wolni od ideologicznych i pa-
triotycznych „rauszy“ i skłonności defor-
mowania życia w przymacie swych poglą-
dów. Widzą ostro, choć może nie efektyw-
nie, formułują z przekonaniem, krytykują
śmiało i rzeczowo, lubią nazywać rzeczy

po imieniu. Może dlatego nie zawsze docenia się ich wartość.

Rozmowa ma przebieg mało efektowny. Stawiam pytania, mój rozmówca odpowiada, jakby w czasie egzaminu.

Są okolice, gdzie Mazurzy cierpią skrajną nędzę, gdyż wykradziono im nawet bieliznę osobistą, nie mówiąc o inwentarzu i sprzętach domowych. Są okolice, gdzie rabusie nie cofają się przed użyciem żadnego gwałtu. Biją a czasem i zabijają. Mazur nie zna od nich spokoju ani w dzień ani w nocy. Nigdy nie jest pewien, czy do domu nie wtargnie mu szabrownik, nie zwymsła od „niemieckich świń“ i nie wyrabuje do ostatniego przydatnego grata.

Jakie jest podłoże tych wypadków i czym należy sobie tłumaczyć przewlekłość tego stanu rzeczy?

Sąsiadujemy z południa m. in. z powiatami: makowskim, ostrołęckim i przasnym



Chalupa mazurska, ostoja polskości i symbol narodowego wytrwania.

skim, które jeszcze przed pierwszą wojną światową uchodziły za wylęgarnie przemytnictwa i koniokrady. Ludność tych terenów słynęła z przeprowadzenia przez granicę koni, bydła, przenoszenia soli, a przede wszystkim spirytusu, który przemycano w końskich pęczkach. Nie rzadko przejść granicę dokonywano grupowo w zorganizowany sposób. Na upatrzonym z góry odcinku granicy część szmuglerzy urządziła fałszywy alarm, który ściągał uwagę strażników, gdy tymczasem główna siła przemytnicza przechodziła granicę w innym punkcie. Ci ludzie znali doskonale stosunki pruskie i stan zagospodarowania tych terenów. Wkrótce więc po skończeniu działań wojennych, wielu z nich ruszyło na rabunek pogranicznych powiatów mazurskich skąd sięgnęli potem dalej na północ. Warunki do rabunku były tu sprzyjające. Większość ludności męskiej wywieźli Niemcy i dostała się ona do niewoli lub na emigrację. Wielu deportowali Rosjanie do robót jako Niemców. Stosunki były zupełnie płynne, brak było wszelkich władz lokalnych, do grabieży wystarczył pozór, że „Mazury to Niemcy“, a niejednokrotnie dodawano „zarzut“... i protestanci.

(Pewien Mazur spod Szczytna opowiadał mi, jak t. zw. szabrownik rabując mu ze ślany obraz Matki Boskiej, tak odpo-

wiadał na jego prośby, by obraz zostawił w spokoju: „Ja jestem Polak i katolik, a ty niemiecka świnią i wierzysz w Lutra. Tobie Matka Boska nie jest potrzebna“). Szabrownicy przyjeżdżali tu buńczucznie i koleśno. Ładowali co się dało na wozy i wywozili „za międzę“. Proceder był tak rentowny, że naśladowcy tych metod rozdzielili się jak grzyby po deszczu.

Gdy stosunki zaczęły się normować, a administracja napływać na miejscowe placówki, ludzie z za między poczęli osiadać na Mazurach jako t. zw. dobrowolni osadnicy, przy czym korzystając z braku odpowiedniego materiału ludzkiego, dostarczali wielkiej ilości kandydatów na milicjantów, urzędników samorządów gminnych oraz członków partii politycznych. Ten nowy podstęp zmierzał do uzyskania swobody ruchów w życiu niby osiadłym i do dalszego upośledzenia ludności miejscowej. „Osadnictwo“ polegało na wzięciu w posiadanie co lepszych gospodarstw i wywożeniu z nich po nocach całego dobytku. Po ogłoszeniu jednego obiektu, „osadnik“ zniknął bez śladu i szukał gdzie indziej nowej okazji rabunku. Akcja ta odbywała się bez żadnych przeszkód. „Władza“ byli krajanie, których poglądy na „szaber“, niemieckość Mazurów i rolę administracji na tym terenie były identyczne z „osadniczymi“. W najgorszym wypadku, gdy jakiś „osadnik“ puszczał się na zbyt grube interesy, sprawę załatwiano ku... obustronnemu zadowoleniu, w szynku. — Powstał cały system nadużyć, w których władza spełnia rolę postrachu opornych, którymi byli za zwyczaj Mazury posiadający bogatsze gospodarstwa, pasieki, drobne młyny itp. Często przy użyciu gwałtu wciągano całe rodziny na listy Niemców i wysyłano na transporty. Były wypadki że w Olsztynie z 1.000-osobowych pociągów komisje wojewódzkie wyciągały po

200 a nawet po 500 tuziemców, wysłanych przez miejscowe władze do Niemiec. W tej zbrodniczej robocie nie brakło przedstawicieli żadnej z miejscowych władz. Gdy jednak z góry zaczęto wglądać w te sprawy, miejscowi kacykowie wpadli na inny pomysł, którego ilustracją były ranne skargi na kradzież maszyn, wziętych na przechowanie, rzekomo pod „opiekę“ władzy.

— Ale chyba nadużycia te ustały dzisiaj znacznie i stosunki normalizują się, podobnie jak w północnych okręgach kraju?

Niech pan pojedzie i sprawdzi. Ale plecaka nie radzę panu zabierać, bo łatwo może ktoś pana wyręczyć w noszeniu go. Niestety mam codziennie dziesiątki skarg i nie mogę powiedzieć, by nasilenie się zmniejszało. Zuchwalstwo „szabrowników“, ufnych w bezkarność i pomoc „krajaków“ posuwa się tak daleko, że dziś wywozi się za międzę nawet lasy, rozbiera domy i zabudowania gospodarce, ściąga dachówkę z opustoszałych budynków. Na Mazowszu powstają całe składy budulca, przekraczające grubo potrzeby ich „właścicieli“. My, na przykład, mamy w powiecie dzielnego komendanta M. O. Ludzie jego są zajęci w dzień i w nocy, mimo to zadanie przetrasta ich siły.

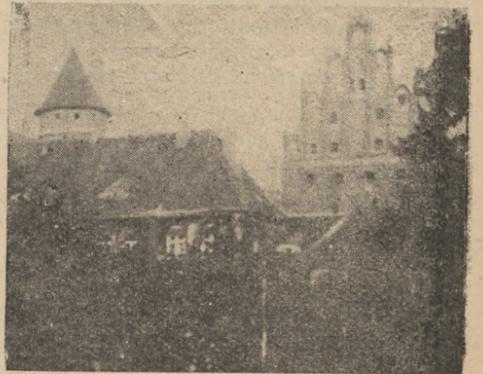
— Jakież środki zaradcze, zdaniem pana, byłyby konieczne, by przywrócić tu porządek i bezpieczeństwo?

Trzeba bezwzględnie wykonania istniejących zarządzeń i radykalnego usunięcia przyczyn istniejącego stanu rzeczy. Ogłoszono sądy doraźne za t. zw. „szaber“. Dotychczas jednak nie słyszałem, by kogoś skazano i choćby tylko dla przykładu surowo ukarano. Za przestępstwa, jakie tu są popełniane, przewidziana jest przecież nawet kara śmierci. Niestety kary grożą

tylko na papierze i nikt się nimi nie przejmuje, a cierpi na tym najwięcej dobre imię państwa polskiego i sprawa polskości Mazurów.

Musi się zmienić większość milicjantów, którzy pochodzą z Mazowsza i związani są szeregiem interesów i węzłów, nawet pokrewieństwa, z elementem przestępczym. Dopóki oni stoją na straży porządku i bezpieczeństwa, ani jednego ani drugiego nie będzie.

Musi się wysiedlić na północ, albo zgoła z terenu województwa, ludzi - szkodników „z za między“ i zamknąć ich dopływ. Wszyscy oni posiadają gospodarstwa na Mazowszu i myślą wyłącznie o ich wzbogaceniu drogą szabru, a nie o osadnictwie. Są to ludzie zdemoralizowani dotychczasową bezkarnością, o cynicznych poglądach na sprawę cudzej własności, a co najważniejsze, nie do zniesienia w współżyciu z



Olsztyn. Zamek od mniej „fotogenicznej“ strony.

miejscową ludnością. Na ich miejsce muszą przyjść ludzie godni i uczciwi.

Wielka ilość Mazurów przebywa zagranicą i czyni się starania, by ich skłonić do powrotu. Niektórzy wracają i zastają swe domy zajęte w wielu wypadkach przez ludzi, którzy bądź je wyrabowali, bądź zaniedbali w skandaliczny sposób. Sprawa tych obiektów winna być jak najrychlej załatwiona z uwzględnieniem praw istotnych właścicieli.

— Może mi pan jednak podać jakieś pozytywne osiągnięcia na tym terenie.

Otóż są starania bardzo wydatne ze strony władz wojewódzkich, aby wprowadzić innego ducha w stosunki z tuziemcami. Czekamy, by i na naszym terenie wysiłki te dały wyniki.

Poza tym na ogół dobrze układają się stosunki między repatriantami, zwłaszcza z terenu Wileńszczyzny. Nie tylko zgadzają się z miejscowymi, ale często, nawet samorzutnie spieszą im z pomocą. To są ludzie i oni stanowią element wartościowy w osadnictwie. Byli tu też harcerze podczas wakacji. Postawiali ludności płoty, pomogli w żniwach, brali się nawet do naprawy dróg. Zostało po nich jak najlepsze wrażenie i wdzięczna pamięć. A to bardzo wiele tutaj znaczy. Ostatnio trochę ruszyło się z pracą. Ludność jest bardzo zni-

Władysław Machejek

Znad Nysy

Nad siną rzeką wieją, jak brask, jak świt jasnowłosy,
mokre wieści bielinków i cięcia łąk na pokosy.

Rzeko gęstwino raz, — drugi — jako człowiek nad ciemnią,
bijesz sercem o brzeg i rzucasz się w drogę bezbłądną.

Rzeko ulewo — chłodzona obcą ziemią — bijesz w dzwony,
trzeba, trzeba w świat pędzić, Polski na morzu dokonać.

Trzeba przetopić każdą kroplę na morza i szlaki,
by tak ciągnął świat ku nam, jak wiosną stęsknione ptaki.

Bądźcie Ty i Odra, jak świece oknom zaufane,
bądźcie jako czujni żołnierze czekający rana.

Stoję, jak nad rozdartym polem, kraje nasze liczę,
drugobrzeżnie pierś nagą rozdarty na szloch Łużyce.

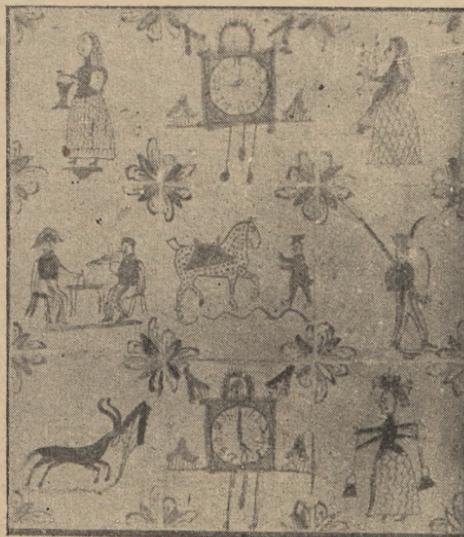
Sztuka ludowa Mazurów



Madonna z dziećmi. Rzeźba gotycka z uzupełnieniami ludowymi warsztatu lokalnego, z okolic Olsztyna.



Mazurski dywan ludowy z r. 1779. Z miejscowości Szyba, powiat Elk.



Kafle mazurskie z powiatu niedzickiego, dawniej niborskiego, z ok. 1830 r.



Św. Roch, rzeźba z kapliczką ludową z okolic Olsztyna.

Zdjęcia Muzeum Mazurskiego w Olsztynie.

szczona materialnie i potrzebuje o wiele większych możliwości zarobkowych. Mazur jest pracowity i chce pracować, aby znaleźć środki utrzymania. Nie jest łasy na cudze i nie będzie naśladował wzorów „z za miedzy“.

Żegnaj Liperta. Ten rodowity Mazur, kiedyś górnik westfalski, działacz plebisytowy i współwzięź Linki robi wrażenie znużonego, może tylko całodziennym zmaganiem z tragizmem, który na tej ziemi trwa od wieków i przetrwał pierwszy rok polskiego panowania. Ale jest w nim i niespożyty upór, jakaś czupurność w walce z losem, która jest na tej ziemi znamieniem świadomej polskości. Już w progu dolatują mnie jego słowa: „Niech pan napisze, by księża na Mazowszu użyli całego wpływu i uświadomili swych parafian o tym, co się dzieje na Mazurach.

Zacząłem Sienkiewiczem i skończę nim. Kiedyś w czasie najazdu Gosiewskiego sprzymierzeńcy tatarscy wkroczyli tu pod polskim dowództwem. „Potop“ tak mówi o tym fakcie:

„Tej samej nocy jeszcze, w której Tatarzy minęli słup graniczny, niebo zacerzeniło się lunami, rozległy się wrzaski i płacz ludzi deptanych stopą wojny“.

„Przecie elektor-lennik, zatem sługa Rzeczypospolitej, z dobrodziejstw jej żyjący, pierwszy podniósł świętokradzką rękę na królową i panią, więc nałożyła mu się kara, a więc Kmicic był tylko narzędziem gniewu Bożego.

Dlatego, co wieczora spokojnie odmawiał różaniec przy blasku płonących osad niemieckich, a gdy krzyki mordowanych zmyliły mu rachunek, wtedy zaczynał od początku, aby duszy grzechem niedbalstwa w służbie Bożej nie obciążać“.

Zniszczeniu uległo 180 km kraju wzdłuż i 75 w szerz, zniszczono 13 miast, 249 wsi, 37 kościołów, zginęło 23 tysiące ludzi, dwa razy tyle poszło w jasyr. Jakże wierzyć Sienkiewiczowi, że „kto polską mową o liłość umiał prosić, ten z rozkazu wodza był oszczędzany...“

W niecałe trzy wieki potem żołnierz sowiecki usłyszał na tej ziemi, że noga jego depce kraj niemiecki po raz pierwszy w ciągu drugiej światowej wojny, że nadszedł czas odpłaty za setki spustoszonych kilometrów, które przemierzył wśród zgłiszcz rodziennego kraju, za skargi, które dźwięczały mu w uszach i za grozę zbrodni, jaką miał w oczach. Wyładował tu swe bóle i krzywdy, nie podejrzewając nawet istnienia polskiego ludu w sercu niemieckiej ziemi.

Gdy zaś dopełniały się dni zgrozy i srode utrapiony lud polski wzdychał do Polski, jak do matki, której orędownictwo uśmierzy tragiczne spłoty niesprawiedliwości, przyszedł szkodnik z imieniem Polski na ustach i dopełnił miary gorczy. Nie był to tchórzliwy szabrownik śląski czy pomorski, co to przemykał przez opustoszałe wsie jak lichy złodziejczak, ale zuchwały rabuś, upojony własną bezkarnością, której granice przewrotnie rozszerzał, udarczytel bezbronnych kobiet i starców, dotkniętych już ciosami, o jakich nie można mówić spokojnie.

Czy naprawdę dla tej ziemi łez i krwi konieczny był aż taki czas próby i czekania na prawdziwą Polskę, na elementarną sprawiedliwość i prawo do życia?

Czy naprawdę potrzebna była krew i łzy, które dziś trzeba będzie osuszać i za nie zadośćuczynić?

Detaliści:

wyroby »ORION«

jak: barunki do wszelkich materiałów czernidło szybko schnące do wszelkich skór, politura do mebli, płyn do czyszczenia metali. Do nabycia w składnicy Fabrycznej

Katowice, ul. Starowiejska 3. Tel. 354-64

Natalia Rolleczek

Sosny na żywicę

Opowiadanie z 1942 roku

Żywicowy teren ciągnął się wzdłuż toru. Torami przewalały się wojenne transporty. Stalową arterią pędziła krew, tłoczona w pożerający ją organizm. Transporty stawały w żywicowym lesie ze zgrzytem zdegraków i ulgą głębokiego wdechu lokomotywy. Przetrzywane, czekały godzinami na poniesione ramiona semaforu. Marcowy śnieg kładł się na listwach zapartych bydłych i żołnierskich wagonów, ofutrzwał ustawione w szeregi zabawek auta, pogrubiał stopy sztywnej słomy; podniesione pyłki armat warowały na lorach.

W żywicowym lesie cicho i nieprzerwanie powiększał się zastęp drzew z żółtawą klepsydrami zdartego prostokąta kory. W zmierzchu, gdy komin lokomotywy ciskał w nie rojowiskiem iskier, sosny odprowadzały go światłem świeżo obnażonych miejsc na mrocznych, wilgotnych pniach. Blżej przystanku stoi kilka drewnianych parterowych will. Jedna z nich ze zbutwiałym gankiem, w opuszczonym ogrodzie, wygląda jak wytrząśnięty i odrzucony ul. Wiesz nikt nie w wozie.

Dwór wilkowicki skryty w lipcowej bani parku oddycha powietrzem, którego nie skleja zapach żywicy, bo las opada tu zagajnikiem i szerokie pola podpełniają pod dom.

Obszerny powóz zajeżdża przed hall. Pani Maru Łęgocka przyjechała... Idąc przez hall zrzuca z siebie okrycie, futro. Jest już w swoim pokoju. Rozbiera się i kładzie do łóżka. Z zamkniętymi oczyma czeka, aż lokaj poda herbatę... Stopy i obicia na drzwiach ścisają głosy domu i światło z zewnątrz. Zuza śpi w łóżeczku... Spokojna wegetywność dworu nasyci ciało Maru.

Kroki — i do pokoju wchodzi Łęgocka. — Jest list od Pruchnickiej do ciebie, Maruniu.

Maru nie odwraca się od ściany: musi przede wszystkim odpocząć, chce mieć spokój, a Karol wie, jak ona nie lubi, gdy jej w tym przeszkadza.

— Nie mogłabyś, Maruniu, teraz go przeczytać, później zapomnisz.

— Zostaw go. Łęgocka podchodzi do łóżeczka i bierze rozbudzoną Zużę na kolana.

— Co ci mama, papusiu, przywiozła z Krakowa?

— Nic mi nie przywiozła, nawet mnie nie pocałowała...

— To niesprawiedliwie — wybucha Zuza — żebyś ty był kochany ostatni!

— Słyszysz Maru — śmieje się Łęgocka — jestem kochany ostatni.

Maru wrzuca niedbale do szufladki przeczytany list.

— Dlaczego ty ją budzisz? Wybierz ją zupełnie ze snu.

Karol wychodzi z pokoju. Maru odczytuje powtórnie list, drze go, zaciąga lepiej

kołdrę na siebie. I na nowo spokojnie otacza siatką łóżko. Ale teraz bzyka w niej uprzykrzenie treści listu i Maru traci smak spożyciu... Czego więc ta Pruchnicka chce? Zajęcia dla bratanka we dworze? 18-letni chłopak pracuje w wołkowičkih torfach i grozi mu zabranie do żywicowania... Więc co z tego? Wilkowie — dwór mają wystarzającą ilość ludzi... Ze żywicowanie to przemysł wojenny, gdzie każde uchybienie grozi karą za sabotaż... Ale dlaczego ona ma o to prosić męża... taki smarkacz — maturzysta może narobić kłopotu, i jak ona, Maru będzie wyglądała ze swoją protekcją... Lepiej nie mieszać się do tego... Maru naciąga kołdrę na głowę i zasypia.

Przy podwieczorku Karol zaczyna ożywiać:

— Czerwony Krzyż zwraca się do Wilkowie, żebyśmy się zajęli wysiedloną kapitanową Lipeczką, Można by ją wziąć na nauczycielkę do Zuzy.

Maru rozdrążnia to niesłychanie. Jakaś Lipeczka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wychowania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy, w twojej kancelarii?

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w nieswoje rzeczy...

Karol wstaje i zaczyna chodzić po pokoju. Mimo woli rzuca spojrzenie na żonę. Maru wybiera spokojnie tyżeczka pieczone jabłko. Na rozchylonych ustach i w brunatnych, do upalonych ziaren podobnych, oczach ma swój zwykły wyraz rozmarzenia i lenistwa. Szlafrok zsunął się trochę z jej ramion i od białego karku odbijają rudawe włosy. Pełne i giętkie ciało Maru, przypomina mu ciężkie skrzydło, w którym ptak chowa ostry dziób: tak w ciebie Maru kryje się potężny egoizm macierzyński posiadania wyłącznie dla siebie dziecka. Swoją drogą będzie musiał sprowadzić Lipeczkę, chociażby na krótki czas, bo Czerwony Krzyż się obrazi.

— Lipeczka, to pociągająca i miła kobieta — roześmiał się, przypuszczając ewentualną zazdrość żony.

Maru skończyła skrobać jabłko. Teraz nie powie mężowi o Pruchnickiej — mógłby słusznie zauważyć, że ona wtrąca się w nieswoje sprawy.

W drzwiach stanęła pokojówka.

— Proszę jaśnie pana, przyjechali Niemcy ze starostwa i chcą z jaśnie panem mówić.

— Proś do salonu.

Łęgocki zamysłił się. Między nim a starostwem szła gra o grubą stawkę: bronił

lasu przed wydaniem na żywicowanie. Ostatnio siał komisyję i uzyskał opinię, że las jest za młody — kosztowało to łądnych parę tysięcy. Zarząd leśny w starostwie wściekał się, a on potrzebował zgody starostwa na otwarcie marmoladowni. Ale las, las — toć zdrowe sosny nie mogą iść na żywicę.

Zimny deszcz marcowy pada. Od niego topnieje śnieg i ogród wygląda jak brunatna kraszanka upstrzona zielenią. Pogontach i słupach domu Pruchnickich sypława woda. Przed dom zajeżdża wóz wyładowany pękami workami. Jurek widzi go z okien i biegnie otworzyć bramę. Teraz razem z woźnicą taszcza wory na górę. Jurkowi ciężar zjeżdża z pleców, worek pęka i po schodach sypława nasiona, jak ruchomy chodnik.

— Jureczku — staje w drzwiach ciotka — idź do Franka Palika, niech ci pomoże nosić.

Jurek wybiega zły. Do Palików jest daleko, zresztą Palik na pewno nie zechce. Przechodzi koło żywicowanego lasu. „Nie zatrudnionym wstęp wzbroniony pod karę śmierci“ — tak mówi napis. Jurek patrzy ciekawie na sosny: zdarte pasma kory odsłaniają żółtą płaską powiekę, jakby w znaczonej pniach tkwiło oko poroście sztywnej błony.

Chała Palików stoi w lesie koło toru. Kiedy przelatują tędy pociągi, drgają ściany domu, i gałęzie uderzają o dach.

Jurek zastaje Palika przy goleniu. Teraz jest mu głupio mówić o tych workach, bo Palik ma śnieżną koszulę na sobie, odprasowane spodnie i wyswiecone buty. Jurek nosi bluzę bez koszuli i drewniaki z popękkanymi przyszwami. Witają go niewyraźnie (dawniej Palik rąbał drzewo i nosił wodę u ciotki).

— Cholerne pociągi — mruczy Franek, drapiąc brzytwą brodę — stół się trzęsie i ino patrzeć jak lusterko grzmotnie. Niech no pan Jurek potrzyma trochę. Jurek niby się śmieje i trzyma lusterko.

Kiedym w Niemczach robił — mówi Franek — tom sie ni mógł obejść bez tego trzęsienia chałupy. Zem miał spokój w izbie. to mi tak było jak w trumnie. Koło Hamburga siedziałem, alem sie weale nie napracowałem, tyle roboty, co koło samej baorki — śmieje się i Jurek czerwienieje — Tybyś, Palik, nie mógł wórków na strych nosić? Leśnictwo wynajęło u nas strych na nasiona — Jurek mówi i jest wściekły na ciotkę, bo Franek milczy i zaczyna wiązać krawat.

Wchodzi Zośka i patrzy z podziwem na męża.

— Cóż się tak, Franuś, wypiał?

— Nie wiesz? Bo z kawalerem idę, to przecie nie bede golizną świecił. Zośka

Michalina Pazdro

Nad wierszami Wilhelma Szewczyka

Z rdzenia zachodnio - polskiego pnia zrodził się Szewczyk — poeta, zdrowa łodyga śląskich korzeni. Wydając tom poezji „Posągi“ (*), chronologicznie drugi, wysyła Szewczyk w świat wizję Śląska, tej swojej „rośliny świętej“ jak określa Śląsk.

Echa lat 1938 — 1945, objęte poezją Szewczyka, docierają do nas w kształcie pewnej całości, której pięć pierwszych poematów, stanowi jakby uverture, następnie, — to temat główny z wariacjami.

Dwa pierwsze poematy: „Granica“ i „Wstęp do poematu“ „Posągi“, dają zrab ideowy, którego syntezę stanowi wiersz: „Ja znam dziedzictwo ojców“; tak, Szewczyk zna prawdziwie sprawę Śląska całą; tego Śląska, gdzie wiekami Niemiec panosząc się, stał się codziennością, do której ludzie przywykli, choć nigdy się na nią nie zgodzili; głosi prawdę prostą, że na tej „naszej nie naszej ziemi“ Niemiec to tyle co obcy, gdy w innych częściach Polski, Niemiec — to wróg, synonim słowa najeźdźca; lecz semantycznie ten śląski obcy a ciągle obecny, ma wagę większą, zasięg szerszy i głębszy i tego poezje szewczykowe subtelnie sugerują — uczą.

Następnie wiersze „Fragment“ i „Chwila dalekosiężnych spojrzeń“ oddają jakby chwile natchnień poety, gdzie cisza zwod-

*) Wilhelm Szewczyk: Posągi. Instytut Śląski, Współcześni pisarze Śląska 2 Katowice 1945. Stron 63. Cena zł. 65.

na r. 1938-go, przed burzą wiatrów późniejszych emanuje liryką — tym źródłem poezji Szewczyka, które ożywi epikę, przeważającą w dalszych poezjach następnych lat, przeladowanych wydarzeniami wojny. Nie brak tu już podźwięków później zasadniczych dla tematu głównego, jak: niezwykle mocnej miłości do ziemi, buntu wobec niesłusznego dzielących tę ziemię słupów granicznych, przeczuwanie koniecznych zmian politycznych i społecznych wobec krzywd ludzkich, krzywd polskich, oraz woli poety, która okrzyknęła w twardej modlitwach. Ostatni wiersz kończący uverture poetycką: „Pochwała ziemi rybnickiej“, powstał już w 1943-cim roku, — to jakby cantata uroczysta w tonacji uroczystej inwokacji.

Kto ciebie nie zna, ten o tobie szeptem [z uznaniem, żeś pszenka, dymna, zbożna i uparta lub jeszcze: Rzeczypospolitej wiewrowaty [szaniec, czujna warta.

Gwiazdom się tutaj z ludzi nie pokłoni nikt, gwiazdy, obrok dla maszyn, prychają [w kominach; czaple hałdą oślepiły dym — to rudy [wilk, co luną kolorową wpadły brzuch pod [pina.

A kiedy raz ostatni już ku twoim szczytom [tom pliszki oczu polecą — proszę z wiernej [piersi, by mnie na wiatr twój smukły jak na [krzyż przybito, niech mną obraca, kości łamie i uśmier- [ci.

Następuje partia główna, jest nią poemat pt.: „Noc“, który jest treściowo i artystycznie dalszym ciągiem „Hanysa“. Gdy Hanys był protestem górnika społecznie pokrzywdzonego, a m'mo to niepokonanego wewnątrz, i gdy Hanys - ojciec ginie, syn jego Karlik bohater „Nocy“ staje się głównym konspiratorem Śląska. „Noc“ wpada w atmosferę hanysową z łatwością, więc wniosek również nie trudny, że te poematy epiczne to podstawowa potrzeba i to zasadniczy ton dotychczasowej poezji Szewczyka. Już ze wstępu poznajemy śląską kopalnię, buczającą molowo, zadymloną wielokształtnie, wiatrami szarpaną, ciemnokolorową i przez kontrast, zbyt jasny, „sypkim“ słońcem „ugniataną“. — Gdy z świtem Karlik wyrusza na grzyby, i spotyka Grzeganka, to obaj „grzybiarze“, są w tej chwili blisko skolicaceni, tak z typowego zajęcia jak i z atmosfery artystycznej podźwiękującej echemi grzybobrania mickiewiczowskiego. Obie te impresje współbrzmia polskością o borowikach, czy śląskich „surowiotkach“. Wpada trzeci ton, płomienny patriotyzm, jak węzeł trzymający cały poemat treściowo; już wsłuchanie w konspiracyjne nadzieje, choć spętane jeszcze — poznajemy epiczne sylwety poematu, te postacie - posągi; oto po ideow-

śmieje się i zezuje na Jurka, który zrywa się i chwytając za czapkę.

— No, pan Jurek zaczeka, to pójdziemy razem.

I Franek wkłada ciepły kożuszek, szyję owija szalikami. Wychodzą. Palik jest krępy, ma twarz czerwona, włosy przycięte na szczotkę. Jurek jest wyższy od niego o dobrą głowę.

— Co Palik będzie teraz robił?

— Ja tu od lat byłem gajowym, to i dalej nim będę. Do Niemiec mnie już nie wezmą, bo Zośka smaruje czym się da komendanta. Teraz Łęgocki naprzyjmował nowych, ale kiedyś, cholera, tyle lat za gajowego stał, to mnie musi wziąć.

Obaj przenoszą wzrok na drzewa. Sosny nawilgły i stoją ciemne, jak osmalone słupy.

— Ja już dłużej na torfach nie będę robił — mówi niedbale Jurek — najprędzej pójdę do gorzelnii do dworu, dziedzieć mi to wyrobi — kombinuje, chcąc sobie wynagrodzić ten półkożuszek i nowe buty Palika. Tamten patrzy z boku na chłopca.

— Dziedzic to Jurkowi obiecał?

— No, pewnie — potakuje Jurek niewyraźnie — może nie do gorzelnii, ale zawsze gdzieś we dworze mnie wkręci.

— Aha — Palik poprawia czapkę i milkną obaj.

Przed domem Pruchnickich stoi powóz.

Jurek czuje szybkie uderzenia serca — to ono wchodzi mu do tchawicy i pcha się w górę. Powóz wilkowi! zgodzili się! Bo po cóż zatrzymywali się tutaj? Jurek jest jednym skokiem przy powozie. Klania się Łęgockiej. (Czy ona może mieć naprawdę 45 lat?) Właściwie jest rozczarowany, spodziewał się zobaczyć Łęgockiego.

— Otrzymałam list od pani Pruchnickiej — mówi dziedziczka — ale, niestety nie da się to załatwić tak, jak ciotka pana prosiła. Jurek patrzy nieruchomo na zamszą rękę układającą fałdy pledu na kolanach i rumieniec uderzający mu na twarz. Przy furtce stoi Palik, który prawdopodobnie wszystko słyszy. Upokorzenie chwytając Jurka za gardło.

— Tak, tak — mruzczy w okropnym strachu, aby Łęgocka nie chciała dalej mówić. Maru podnosi na chwilę na Jurka wzrok.

— Możemy państwu inaczej pomóc: skierujemy tutaj wysiedloną kapitanową, państwo wynajmiecie jej mieszkanie, zawsze to coś przyniesie. Jurek prawie nie uważa na to, co ona mówi — żeby tylko prędzej odjechała, bo Palik stoi cały czas.

W końcu stangret zacina konie, Jurek całuje zamszą rękę. Powóz znika za zakrętem. Jurek zwraca się do Palika, krew bije mu do twarzy. Ale Franek nic nie mówi i Jurek uspokaja się. Teraz zaczyna żałować — powinien był coś powiedzieć Łęgockiej, jakoś przekonać, pewnie wzięta go za durnia, bo stał tak jak słup. Jest strasznie zły na ciotkę: gdyby go nie posyłała po Palika, byłby się rozmówił z dziedziczką.

Łęgocka dojeżdża do Wilkowic, pogodzona zupełnie z sumieniem. Mężowi nie mówiła nic o prośbie Pruchnickiej, bo miała wstędo do ubiegania się za cudzymi sprawami, za to Pruchnicka będzie mieć lokatorkę, za którą Wilkowice będą płacić, a ona sa-

ma pozbędzie się z domu Lipeckiej, która drażniła ją niesłuchaniem. Maru czuła się podniecona, jak po strategicznym zwycięstwie, a przy tym przyjemnie było pomyśleć, że się tym Pruchnickiej pomogła.

W salonie Lipecka przeglądała z Zuzą jakąś książkę. Kiedy Maru weszła, podniosła się, wypytując z troskliwością, czy Maru nie zaskodziła wilgoć. W międzyczasie rzuciła spojrzenia w lustro, które odbijało jej zgrabną figurę i śniady owal twarzy otoczonej ciemnymi puklami dzwiczącego uczesania. Maru odpowiadała zdenerwowana, przygotowując głos do właściwego startu:

— Będziemy musieli jednakże przenieść panią — zaczęła szybko — pokój pani jest wilgotny, więc chociażby ze względu na zdrowie niestosowny, a innego do dyspozycji nie mamy. Będzie pani mieszkać w willi u Pruchnickich, z całym zaprowiantowaniem.

Lipecka słuchała uważnie z lekko ironicznym uśmiechem.

— Mąż będzie pamiętał, aby pani otrzymywała wszystko regularnie — dokończyła Maru niezmiernie sztywno, a widząc, że Zuza słucha z otwartymi ustami, zwróciła się rozdrażniona do dziecka:

— Idź do tatusia!

Zuza pierchnęła z pokoju. To bardzo dobrze, że Lipeckiej nie będzie: dawniej, gdy mamusi nie było, to tatuś bawił się z Zuzą, a teraz to ta Lipecka chodzi za papą i śmieje się wciąż, a tatuś nigdy, tak jak Zuzie, nie powie jej, że śmieje się do sera... Pchnęła drzwi do kancelarii. Tatuś rozmawia z rządcą i widać odrazu, że jest zły — dlatego Zuza, gdy ojciec wziął ją na kolana, rezygnuje z ruszania ołówków na biurku.

— O ten las nie mamy już co dłużej walczyć — rzucił Łęgocki zgniatając papierosa — jak będziemy się jeszcze upierać, to starosta nie da koncesji na marmoladziarnię, a bez niej nie ruszymy w interesach.

— Pan dziedzic musi wystawić dwóch ludzi do żywicowania, taki przyszedł przepis — wtrącił rządcą.

— No i kogo damy? — zafrasował się Łęgocki.

— Nikt z dobrej woli, panie dziedzicu, nie pójdzie, bo chłopcy klną jak cholera, że przy takiej robocie łatwo kark skręcić: złamie ci się narzędzie, to zaraz, że sabotaż i policja włazi.

— U diabła — zaklął dziedzic — moich fernali mi szkoda, chyba Palika wyznaczymy, ten nie ma co robić u nas, bo przyjął już gajowego.

— To jeden, a drugi?

— Kogoś z torfiarzy.

Łęgocki sięgnął po listę i przebiegał oczami...

— Cóż kiedy to wszystko dzieciacie i stare... Aha, Jerzy Pruchnicki, o, ten w sam raz, młody, to dla niego zdrowo, wyrobi sobie siły... Dwie osoby na utrzymaniu... hm... ile oni dają żywicarzom? zwrócił się do rządcy.

— Ledwie co, ale stara Pruchnicka ma dom, ogród, gospodarstwo — mnożył pośpiesznie bogactwa Pruchnickich rządcą, aby dziedzic nie rozmyślił się i nie kazał mu szukać kogoś na miejsce Jurka.

nych cnót śląskich musi być zasadą zdrowej poezji Szewczyka - obywatela.

Tymczasem wojna trwa, konspiracja trwa, gazety roztaczają swój „smród i dymy“, wątplenie nadchodzi, wyrzut pod niebo wierszem sięga bluźnierczym. „Lecz Karlik umiał myśleć“, zwycięża intelekt; (kto zna dzieje konspiracji polskiej na Śląsku, ten wie jak ta poezja zgodna jest z historią) zdrowe śląskie myślenie, dojrzałe, w 1943 r., choć młode umysły zgasiły raz jeszcze płomienne pragnienie zemsty. Śródwietrzna ojczyzna trwa.

Ale już poczyna się grzmot:

O święty polski kroku, co jak czołg i [głaz, przeszedłeś tyle krajów, Europę całą.

— — — — —

wstanie jak z uroczyska nasz Pan Bóg [zwycięski i nasze święte niebo, ziemia i śmierć, [naród!

Zupełnie specjalnym wariantem muzyki poetyckiej Szewczyka są poetycko ciekawe, przepiękne „Pasje Strasburskie“. Są one przejawem nowych możliwości twórczych poety i stanowią własną odrębną całość. Te tonacje o ciągu zdecydowanie jednolicie religijnym, ta pewność utrzymująca duszę w przejmującym nastroju, świadczą o dojrzałości tego typu poezji, tych doniosłych przeżyć religijnych.

„...bo już niejedyn Chrystus w hucającej [poździe inclinat capite emisit spiritum“.

Tu jest punkt kulminacyjny i nasilenie maksymalne dla dusznej atmosfery oczeki-

— Skoro tak — mówi Łęgocki — to trzeba postać zawiadomienie tym dwóm. Tego Pruchnickiego nie znam, ale myślę, że się nada, a z Palikiem to już niech się komisja leśna gryzie. Ja wolę nie mieć go u siebie.

— Niech papa pożegna się z panią Lipecką, bo ona już u nas nie będzie — zawołała Zuza gdy znikł rządcą.

— Co takiego? — zmarszczył się Łęgocki.

— Mama to powie papie sama — wykrzykiwało dziecko.

W salonie była tylko Maru.

— Znalazłam mieszkanie dla Lipeckiej — zaczęła patrząc z ukosa na męża — nie może przecież mieszkać w tym wilgotnym pokoju.

— Gdzie ją umieścisz? — przerwał krótko.

— U Pruchnickich — rzuciła po chwili wahania.

— U Pruchnickich?... Skąd ja to nazwisko znam?... aha! to pewnie matka czy ciotka tego Pruchnickiego, którego wyka-

załam na żywiczarza.

Maru zrobiło się jakoś głupio.

— Wykazałeś go? po co?

Karol spojrzął zdziwiony na żonę.

— Jestem obowiązany dostarczyć z majątku dwóch żywicarzy, tym bardziej, że nasz las pójdzie na żywicę.

Maru nie odezwała się już na to. Pruchnicki... las... co ją to w gruncie rzeczy obchodzi? Ona chce mieć spokój i Lipeckiej pozbyła się tylko dlatego, że zakłócała tę spokojną, wegetywną wilkowićką, którą Maru tak pielęgnowała, gdzie życie jej i Zuzy tkwiło jakby w basenie, a stały dopływ i odpływ wody był unormowany, że nic nie mogło zmienić jego powierzchni i ciepłoty.

Karol obserwował żonę: z przymglonych zawsze oczu wyczytywał jej myśli. Jego żona nienawidziła, na swój bierny, ale w istocie potężny sposób tego wszystkiego, co przynosiło jakąś zmianę. Dla siebie i dziecka stworzyła to życie w Wilkowicach, podobne do życia atolu, który niezmiennie pokrywa się roślinnością, kiedy morze trzaska okrętą i zżera skały.

*

Kapitanowa wprowadziła się do Pruchnickich tego samego dnia, kiedy Jurek dostał wezwanie do żywicowania. Zalewała go gorzyc: dwór wyrządził mu świństwo, o które nigdy by tych ludzi nie posadził. On to zapamięta Łęgockiemu i tej obłudnej Łęgockiej. Przecież ciotka pisała do nich! Teraz, kiedy ich spotka, to im plunie pod nogi. Ale nie, nawet śliny szkoda, to są snoby, które nie widzą świata poza swoimi palcami. Jak to Łęgocki powiedział? Że „to dla Pruchnickiego będzie zdrowo, bo sobie siły wyrobi“. Jurka o mało krew nie zalała, kiedy mu rządcą to powtórzył. Niech by on sam tego spróbował! Prawie płakał z wściekłości na swoim strzysku. Tak bolały go naciągnięte przy żywicowaniu mięśnie... Palik mądry, uciekł odrazu i nie przychodzi do chałupy: bimber cichaczem robi i gwizdże na Łęgockiego, na policję...

Jurek nawet w domu nie mógł się ostać: Lipecka zajęła dwa pokoje, tak, że on musiał się wynieść ze saniem na poddasze. Rządziła się jak u siebie w domu, stale po-

zyczęła coś od ciotki i potem zapomniała oddać. Zdecydował się już wystąpić i zaprotestować, ale jakoś zachowywał tylko pogardliwe milczenie. Powinna się była domyślić z tego, że nie sobie z niej nie robi...

A później las zaczął go coraz bardziej wciągać w siebie. Tygodnie zaczynały się dla Jurka jak karby dziesięciny na lasce setkami poznaczonych pni.

Las wytryskiwał już wiosną; świetlista smołowatość lepi gałęzie drzew, wilgoć pełnie jak rudawy puch liszki, dymi nawilgła kora.

Żywiczarze rozchodzili się co wieczór ze zdrewniałymi od stałego trzymania w górę ramionami. Dzięki nim od zdrowego pnia lasu odpadały coraz to nowe jego kawały z naznaczonymi sosnami. Łoskot kolejowych transportów, pierscienice przesuwających się cystern przywoływały pośpiech żywiczarzy: godzina opuszczona w lesie to sabotaż.

Pię zdzieranej kory osiada Jurkowi na twarzy razem z żywicą, i potem tatuuje nagie piersi, ramiona. Na obnażonej skórze sosen zostają delikatne rysy nacięć, jakby Jurek odbił tam wizerunek swoich chudych żeber i mostka. Tymi rysami ścieka żywica, tak jak po Jurku spływa pot. Wieczorem wali się zmęczony na stryszek. Zapach i chłód sosen wieje przez szczeliny leśną, spróchniczoną ziemią, słycać dudnienie pociągów: rozjuszony chłop podskakuje podkutymi żelazem butami, miazdząc, jak skorupki ludzi i domy...

Rano zrywa się Jurek o czwartej. Tak już się jakoś utarło, że przychodzi najwcześniej i uważają go za pierwszego żywiczarza. W jego beczce jest najwięcej żywicy. Jurek właściwie wykonywał robotę tak prędko, aby się jej pozbyć, ale wynik jest taki, że nadlesny go chwali i stawia za wzór, a Jurkowi to jednak sprawia jakąś przyjemność i satysfakcję, że wziął wszystkich żywiczarzy. Skoro już to robi, to nie chce być najgorszy, tylko pierwszy. Nawet trochę się puszy, bo dostał nadzór nad narzędziami. Ale przed żywicowaniem musi jeszcze szufłować nasiona na strychu; od tego po dwóch godzinach drętewiąją ręce. Dom cały przesiąknął już zapachem nasion. Lipecka śmieje się, że Jurka czuć jak sosnową trumną. Jego to złości, ale Lipecka ma niezwykły głos — czasami wsluchiwał się weń na strzysku, nie rozróżniając nawet tego, co mówiła.

Ze strychu schodzi Jurek na śniadanie. Ciotka dołała wody do mleka a teraz mój z jej pajęczych wysiłków, aby zakryć ich w, że koza dała dziś więcej: jest to jeden biedak, tak jakby pajak usiłował zasnąć pajęczyną dziurę wybitą w murze. Z kawałkiem jęczmiennego chleba idzie chłopak do Któregoś dnia spotyka Palika. Od Fran-

żywicowania.

ka idzie zapach wódki.

— O pan Jurek teraz za mechanika od drzewa jest, co? — krzywi się złośliwie.

— Dajcie mi spokój, nie mam czasu — wrusza niechętnie ramionami Jurek. Ale tamten idzie za nim.

— He, he, he, to pan Jurek pierwszy żywiczarz, a ja mam w d... żywicę, dwóm mnie wykazał, jaśnie pan powiedział „Palik pójdzie żywicować“, a ja, proszę jaśnie pana, niech się jaśnie pan pocałuje w t... 10 lat gajowym byłem, słyszy pan Jurek? Żeby nie ja, to by ten las chłopcy po

jednemu wynieśli, a teraz, cholery, każą mi paskudzić las?! To ja z domu uciekłem, niech tam Zośka skuczy, i do lasu! Stałem ja za lasem, to i las za mną teraz stoi — zatoczył się. — Słyszysz ty, żywicarska mordko, nie będę z tobą świnią drzewa — krzyczał i cóż tak uciekasz? nie pachnie ci wódka?

Jurek wcale nie uciekał. Szedł z opuszczoną głową koło Palika. Franek miał rację: to było świństwo, co oni robili w lesie. A chociaż Palik był pijany, wyrębał Jurkowi trzeźwą prawdę, bo przecież on w gruncie rzeczy cieszył się i puszył, że jest pierwszy z żywiczarzy, a żywicowanie to była pałka gorsza od rzeźnickiej; tam się zabijało zwierzę odrazu, a tu wykrobywało się życie z drzewa powoli...

Palik woli puszczać bimber, bo tak mu doradziło jego sumienie gajowego, a innego sumienia Palik nie ma...

Franek gulgoczący coś bez związku wytrzęsiał nagle i patrzył zdumiony na Jurka, który potrząsając go za ramię, krzy-

czał: — Ja ci, Franek zazdrościsz, żeś uciekł! Widzisz, ja nie mogę teraz... Puścił go i nacisnąwszy czapkę na oczy pobiegł naprzód. Palik stał chwilę, a potem gwizdnął przeciągle.

*

Jurek pracował cały dzień jak ogłupiały. Rzucił się na sosny, zdzierał zapamiętałe korę, póki nie błysnęła wilkotna kremowa tkanka, błyskawicznymi przecięciami drażył nienaruszoną powierzchnię i tak otwarte sosny zaczynały sączyć do podstawionych naczyń białawy płyn. Dopiero przeciągły alarmowy gwizd nadlesnego oderwał go zlanego potem od roboty. Na sygnał żywiczarze zbierali się pod sosną, gdzie kontroler sprawdzał codziennie ich obecność i stan narzędzi. Jurek dochodząc do placu widzi stojące na szosie auto i powóz (Ciąg dalszy na stronie 6)

cach Karlika i Grzeganku, renegat Wyżgoł, charakter nieszczęsny, spodlony, zbłąkany Ślązak, do którego stosunek poety charakterystyczne wyrażają słowa „...a mnie go jest żal“.

Smutne jak noo lata oczekiwania aż się „złamie zły oręż i zginie“, podpierane są prośbą: „Połam Boże te dni złe i pognij“; poeta archaizując, oddaje atmosferę nie tylko pięciu lat okupacyjnego oczekiwania lecz i sześćsetletnie oczekiwanie śląskich pokoleń. — Bohaterską gotowość symbolizują tu „karabin wyciągnięty spod słomy, macierzanka natarty... by błyszczał i lśnił“ i człowiek równie „blyszczący“. Z poetą odbywamy wędrówkę za tym człowiekiem, za miejscami męczeńskimi tej ziemi, od nieborowickiej granicy, od Makosów po Bytom przez Zwonowice, Sośnicę, Wodzisław, Cieszyn, Żory, Borynię — męczony górnik „śląski towarzysz żelazny“, uczczony poezją Szewczyka, wchodzi do historii polskiego ruchu oporu. W to wszystko wpada jak intermezzo świetny obraz kopalni zamarłej, z wyroku polskiego, a ożyłej z inicjatywy niemieckiej i pomimo tej krzywdy doznanej od swoich, od Polki, Grzeganeł jest współnikiem w konspiracji Karlika. Grzeganeł symbolizuje tu to „pomimo“ i to „zawsze“ triumfuje nawet nad poczuciem krzywdy społecznej doznanej od swoich. Znamienny to element narodowej duszy Ślązaka, zapoznanej dzisiaj. — To, że syn Hanysa, Karlik konspirator - polityk, opanowany przodowem, niezłomnie trwałą pomimo krzywd osobistych — na to liczyć byłoby rzeczą nieludzką — troska i opieka dla dziedzicz-

wilkowicki. Przed szosą rozmawiają żywo: kilku Niemców w wojskowych mundurach, starosta i Łęgocki. Jurek domyśla się inspekcji. Żywiczarze stoją już w grupie. Pruchnicki dołącza się do nich. Wojskowi oglądają kubki, gdzie splota żywicę i wymieniają ze sobą zdania. Jurek nic z tego nie rozumie, bo nie zna niemieckiego. W tej chwili słyszy swoje nazwisko: nadlesny go wywołuje. Jurek występuje naprzód. Wygląda jak prawdziwy robociarz: obnażony do pasa, pociemniały od żywicy i prochu, na skórze widać stare blizny od skaleczeń narzędziem i świeże zadrapania. Nadlesny coś mówi do komisji. Niemcy patrzą uważnie na Jurka i przytakuja, a jeden z nich podnosi aparat fotograficzny i Jurek czuje na sobie oko obiektywu. Krew uderza mu do twarzy: fotografują go jak rozpłodnika z obory... Któryś z Niemców wraca do szopy, wynosi litr wódki i wypycha ją młodemu Pruchnickiemu pod rękę. Teraz podchodzą kolejno i ścisają mu dłoń.

— Dobry robotnik, pierwszy robotnik!... Znow przytka aparat.

Jurek blednie coraz bardziej, zaciska palce na szyję butelki. Psiakrew, jeszcze jedno słowo, a trzaśnie flaszka w te uśmiechnięte pyski!... Mgła zasłania mu oczy. W tej chwili czyjś głos go otrzeźwia. Przed nim stoi Łęgocki.

— Jesteście pierwszym żywiczarzem w Generalnym Gubernatorstwie — mówi z powściąganą ironią — możecie się podać o medal do propagandy. — A widząc, że tamten stoi nieruchomo, jakby nie rozumiał, dodaje wyjaśniająco:

— Tulejszy okręg ma najwyższą produkcję w całym GG, a znowu wy jesteście pierwszym w tym okręgu, rozumiecie? Jak wasze nazwisko? — dodaje niezcierpliwiony — bo nie słyszałem, z Wilkowic jesteście, czy ze Smoliska?

Jurek patrzy uważnie na kapelusze, krawaty i garnitury tego pana, do którego pisał, aby go uwolnił od żywicowania i który raczył mu teraz doradzać, aby się zgłosił po medal do propagandy. Chłopak zaczyna się śmiać, ale tak, że głosu prawie nie słychać, tylko rozsuwają mu się wargi i widać zacisnięte twardo zęby. Ten pan drwi sobie z całej parady, jaką tu urządzili Niemcy Jurkowi, a przecież i Jurek czuje, że to było obrzydliwe...

— No, jakże się nazywacie? — niecierpliwie się Łęgocki.

— Je ne comprend pas — odpowiada obelżywym tonem Pruchnicki, śmiejąc się wyszczerzonymi zębami. Twarz Łęgockiego czerwienieje gwałtownie ale Jurek odwraca się na pięcie i odchodzi.

Auta z gośćmi rozjeżdżają się i dziedzic wraca do powozu, gdzie czeka na niego Maru. Konie już ruszają z miejsca, kiedy dziedzic zatrzymuje z powozu nadlesnego.

— Panie inżynierze jak się nazywa ten wasz beniaminek?

— Pruchnicki Jerzy, maturzysta — śmieje się inżynier. Teraz przez cały letni sezon będziemy mieć inspekcje na karku: oni boją się, by pan nie zrobił jakiej „siuchy“ z robotnikami o żywicę, zwłaszcza, że to jest ten Pruchnicki, nim go wykażalem do żywicowania! Pewnie się obraził za to „wy“. Żebym był wiedział, że to maturzysta! A to mi dał nauczkę: „Je ne comprend pas...“ Mówiłem ci, Maru, co on mi powiedział? — zwrócił się do żony siedzącej z uparciem odwróconą twarzą.

— Daj mi spokój — rzuca opryskliwie Maru — to twoja rzecz znać ludzi, którzy u ciebie pracują, a nie moja, żeby się nimi zajmować. — W głosie Łęgockiej znacząco rozdrażnienie.

Małżeństwo dojeżdża w milczeniu do Wilkowic.

(Dokończenie w następnym numerze)

KOMUNIKAT

Związek Autorów, Kompozytorów i Wydawców ZAIKS uprzejmie prosi niżej wyszczególnionych literatów i kompozytorów, względnie ich spadkobierców o zgłoszenie się we własnym interesie do Dyrekcji Generalnej Zaiksu, Warszawa, ul. Śniadeckich 10, względnie o zakomunikowanie pod tymże adresem wszelkich informacji, które by się odnosiły do miejsca pobytu tych autorów i spadkobierców.

Chodzi przede wszystkim o następujących twórców, zarówno żyjących, jak i zmarłych: Biernacki, Cierniak, Dębicki, Górska, Hulewicz, Hulka-Lańkowski, Korczak, Kuncewiczowa, Baszczyński Al., Niewiadomski, Orkan, Orzeszkowa, Ossendowski, Pruszyński, Przybyszewski, Rytard, Bruno Skult, Statkowski, Szemplińska, Szukiewicz, Świętochowski, Temerson, W. Tełmajer, Weysenhoff, Zagórski Włodzimierz, Zaleski K.

Jesienią przefarbuje swoje materiały jedynie barwnikiem bo daje ładne i trwałe kolory.

„ORION“

Otrzymasz w drogeriach i składach farb. — Składnia Fabryczna, Katowice, ul. Starowiejska nr 3, tel. 354-64. (85)

Kronika Słowiańska

Zjazd Łużycoznawczy w Poznaniu

Wprzęgnięta w rydwan służby dla hitlerizmu nauka niemiecka przez szereg lat fałszowała prawdę historyczną i wysuwała koncepcje, opierane w założeniach swych na naciąganiu faktów i wymysłach. Istniejące już przed wiekami tendencje nauki niemieckiej w kierunku służenia celom imperializmu i siły, w pełni w hitleryzmie znalazły swój pełny i jakże skryzalizowany wyraz. Wyznając na równi z polityką nieetyczne hasło o uświęcaniu środków przez cele, tendencje te znalazły swój kres, podobnie zresztą jak idea, która je zrodziła, w kompromitacji na miarę potęgi fałszu, jaki nb. tkwił już w samych podstawach tego rodzaju akcji.

Jednym z przyczółków, przeciwko którym z uporem kierowało się ostrze agresji nacjonalizmu niemieckiego, były i są Łużyce. Zmobilizowanie przez naukę niemiecką wszelkich możliwych, a naciąganych koncepcji i fałszywych sądów nie jednak nie wskórało, albowiem na świadectwo prawdy został się sam naród łżycki, który spontanicznie przez swoich działaczy podnosi ostatnio, nie po raz pierwszy zresztą w dziejach, pretensje o samostanowienie o sobie. Nauka polska w zrozumieniu moralnych aspektów sprawy łżyckiej niejednokrotnie wypowiadała swoje zdanie na ten temat.

Zwołany w dniach 5 i 6 października br. przez Zarząd Główny PZZ ogólnopolski Zjazd Łużycoznawczy w Poznaniu postawił w przebiegu obrad zagadnienie Łużyc przede wszystkim jako rzecz międzynarodowej sprawiedliwości i uczciwości. Sprawa Łużyc jest czysta, jest sama przez się uczciwa i jako taka domaga się uczciwego potraktowania jej przez czynniki międzynarodowe, które nie powinny wyłączać z nią jakichkolwiek pobudek interesu.

Pierwszy Zjazd Łużycoznawczy w Poznaniu obelany został przez wszystkie niemal ośrodki naukowe w Polsce, przez czynniki ministerialne i wszystkie koła, zainteresowane bezpośrednio lub pośrednio w samym zagadnieniu. Byli więc przedstawiciele Ministerstwa Ziemi Odzyskanych, Oświaty, Informacji i Propagandy, przedstawiciele wyższych uczelni z Krakowa, Wrocławia, Poznania i in., przedstawiciele Instytutów Naukowych: Bałtyckiego, Mazurskiego, Śląskiego i Zachodniego, dalej: Komitetu Słowiańskiego i Towarzystwa Przyjaciół Łużyc z Akademickim Kołem „Prołużu“, (którego propaganda, nawiasem mówiąc, budzi jak najgorsze wrażenia zagranicą), w końcu reprezentanci świata politycznego, literackiego, radia i prasy ze wszystkich stron Polski. Nie brakło i delegata Łużyc, dra Pawła Cyża, oraz trzech stypendystów Łużyczan, studiujących w Polsce.

Obrady pierwszego dnia zjazdu, prowadzone pod przewodnictwem prof. dra Romana Pollaka, zajęły się przedstawieniem wyników wiedzy polskiej dot. Łużyc w przeszłości i teraźniejszości. Prof. Pollak przeprowadził zwięzłą analogię pomiędzy Śląskiem, który od XIV wieku poprzez długie stulecia niewoli niemieckiej dobił się w końcu ofiarą krwi do Polski — a Łużycami, które przez zachowanie odrębności narodowej w ciągu jeszcze dłuższej trwającej niewoli zasłużyły poprostu na miano fenomenu. Z kolei prof. Tadeusz Lehr-Spiwiński w wyczerpującym referacie przedstawił początki słowiańskiego zaludnienia Łużyc. Prof. dr. J. Widajewicz mówił o przeszłości Łużyc, dowodząc ich słowiańskości już na wiele wieków przed Chrystusem. Nazwę Łużyc wyprowadza od łęgu (Łężanie, Łużycanie). Prof. dr. Witold Taszycki w prelekcji na temat „Języka łżyckiego i

jego stosunku do sąsiednich języków słowiańskich“ dowiódł przykładowo szczególnie dużego podobieństwa języka łżyckiego do polskiego. Bogatych informacji o kulturze i literaturze Łużyc udzielił zebrany prof. dr. Stanisław Grabowski, przeplatając ciekawe wywody wspomnieniami osobistymi ze swego pobytu na Łużycach przed wojną.

Obrady drugiego dnia zjazdu, których przewodnictwo objął ostatni z wymienionych wyżej prelegentów, stanęły już pod znakiem wniosków praktycznych i rezolucji. Wstępny referat red. Eugeniusza Paukszy przedstawił jeszcze w tej części „Aspekt moralny sprawy łżyckiej“. Objawy gotowości polskiej odnośnie Łużyczan określił prelegent jako wpływ tradycji wolnościowych naszego narodu i naszego idealistycznego pojmowania zagadnień bytu narodowego. Następny z kolei, a zarazem ostatni referat mgr. Edwarda Serwańskiego postawił szereg bardzo rzeczowych wniosków i postulatów. Ponieważ układ

poczdamski nie przewidział sprawy łżyckiej nie posiadała ona zrazu szans politycznego rozwiązania. Jakikolwiek widoki powodzenia mogą jej zapewnić sami Łużycanie i tylko oni, a to zawsze i jedynie jako podmiot, a nigdy jako przedmiot politycznej akcji. Sytuacja Polski i Czech jako propagatorów sprawy łżyckiej jest o tyle kłopotliwa, że łatwo może budzić podejrzenie, iż oba narody weszły tu własny interes.

Obudniowym obradom towarzyszyła ożywiona dyskusja, w wyniku której uchwalono szereg rezolucji i powołanie do życia specjalnej Rady Naukowej dla Spraw Łużycoznawczych. W skład komitetu organizacyjnego tej Rady weszli: prof. St. Grabowski jako przewodniczący, red. Powidzki — wiceprzewodniczący, red. Pauksza — sekretarz, prof. Stieber, dyr. Lutman, prof. Taszycki, dyr. Pilchowski i delegat Komitetu Słowiańskiego w Warszawie jako członkowie.

A. Widera

Czasopisma poświęcone Słowiańczyźnie

„Życie Słowiańskie“, „Ślawianie“, „Słowiański Przechle“, „Slavenski Svijet“, „Slavjani“... oto tytuły czasopism, które wychodzą obecnie we wszystkich państwach słowiańskich, a poświęcone są zbliżeniu między Słowianami. Są to organy istniejących w każdym z tych państw Komitetów Słowiańskich, a jakkolwiek służą jednej wielkiej idei, różnią się między sobą w niejednym. Droga prowadzi do jednego celu, ale wędrowcy w rozmaity sposób się w podróż tę ekwipują. Dla zajmujących się praktyczną stroną stosunków międzysłowiańskich porównanie tego „ekwipunku“ może być bardzo ciekawe i pouczające.

Nasze „Życie Słowiańskie“, organ Komitetu Słowiańskiego w Polsce, przeznaczone jest przede wszystkim dla czytelników szczególnie się sprawami Słowiańszczyzny interesujących, nie ma zaś charakteru organu informacyjnego dla kół najszerszych. Redakcja pisma wydała się rzeczą ważniejszą podtrzymywanie kontaktu z istniejącą grupą pracowników słowiańskich, rozporządzających już pewnymi wiadomościami, i podawanie im stale nowych wiadomości fachowych, niż propaganda wśród szerokiego mas, na które można wpływać przez prasę codzienną również. Właściwie potrzeba w naszych warunkach dwu pism: oprócz „Życia Słowiańskiego“ winno wychodzić jeszcze jedno, dla najszerszych kół przeznaczone, ilustrowane, w dobrym tego słowa znaczeniu propagandowe. Projekt wydawania takiego pisma powstał w łonie Komitetu Słowiańskiego w Polsce już zresztą dawno i tylko trudności finansowe uniemożliwiły realizację tego istotnie ważnego zamierzenia.

„Życie Słowiańskie“ zostało zbudowane na podstawach wieloletniego doświadczenia i uważnym porównywaniu rozmaitych periodyków poświęconych temu samemu celowi lub celom podobnym. Pismo posiada swój ustalony plan, który musi być w każdym miesiącu wypełniony: bezwzględnie muszą być w każdym numerze zamieszczone wiadomości o wszystkich bez wyjątku narodach słowiańskich, muszą być bezwzględnie uwzględnione wszystkie najważ-

niejsze dziedziny, w ramach podziału na zagadnienia polityczne, gospodarcze i kulturalne, musi być uwzględniona przeszłość polskiego stosunku do Słowiańszczyzny („Rozwój idei słowiańskiej w Polsce“), musi być zamieszczony przegląd ksiązek i czasopism. Działy te rozszerza się w miarę możliwości stale, a zwiększa się liczbę działów pisma. Niestety brak środków uniemożliwia przynoszenie materiału ilustracyjnego.

Podobny charakter posiada, jakkolwiek zdaje się nie mieć takiego systematycznie ułożonego planu, najstarszy z istniejących organów „wzajemności słowiańskiej“, praski miesięcznik „Sloviansky Przechle“, wychodzący już w XXXII roczniku, pismo na wysokim poziomie, o niewątpliwie dążności do wielostronności, a dysponujące znacznie większymi środkami, o czym świadczy chociażby objętość dwukrotnie większa niż naszego organu. Pismem kieruje wybitny sławista czeski prof. A. Frin-ta z dość licznym kolegium redakcyjnym, złożonym niemal wyłącznie z naukowców.

Już nieco innego rodzaju pismem jest moskiewski miesięcznik „Ślawianie“. Pismo to posiada charakter bardzo reprezentacyjny, jest ilustrowane, przynosi dużo materiału oficjalnego, nie odznacza się jednak tak wielką ilością działów i zainteresowania „Przechle“. Bardzo sympatyczny redaktor pisma p. Wasilij Mołodcow stara się bezustannie pismo ulepszyć, a bilans końcowy jego wysiłków jest niewątpliwie dodatni. Niemniej, wydaje się, że zmniejszenie przeważającego materiału oficjalnego na rzecz konkretnych informacji o Słowiańszczyźnie współczesnej wyszłoby zadaniom pisma na korzyść.

Oba południowo-słowiańskie organy, „Świat Słowiański“ (Slavenski svijet) w Jugosławii i „Słowianie“ (Slavjani) w Bułgarii w przeciwieństwie do wszystkich wyżej wymienionych pism są miesięcznikami o charakterze popularnym: przynoszą wiele ilustracji, sporo materiału literackiego, przekłady nie tylko poezji, lecz i dłuższych nowel z piśmiennictwa słowiańskich, reportaże itd. Wydaje się, że brak tam stałego planu redakcyjnego, ale w każdym razie widać również ambicję do wielostronności.

Nie na tym koniec. W każdym z państw słowiańskich, z wyjątkiem oczywiście Z. S. R. R., wychodzą nadto miesięczniki poświęcone zbliżeniu tych państw ze Związkiem Radzieckim, jak warszawska „Przyjaźń“, organ Tow. Przyjaciół Polsko-Radzieckiej. Są takie pisma w Czechosłowacji, Jugosławii i Bułgarii. Istnienie tych pism specjalnych — mają one jednak bez wyjątku charakter popularyzacyjny, obliczony raczej dla szerszych kół społecznych — umożliwia oficjalnym organom Komitetów Słowiańskich równomierne uwzględnienie spraw mniejszych narodów słowiańskich.

Jak się zdaje, wszystkie te pisma jednakże cierpią na zbyt małe, stosunkowo, zainteresowanie społeczeństwa. W szczególności dotyczy to „Życia Słowiańskiego“, które dawno winno rozrosnąć się do rozmiarów większych niż 32 strony miesięcznie — gdyby społeczeństwo śpieszyło z prenumeratą. Jak dotąd jednak, wstyd przyznać, raczej trzeba było zmniejszyć nakład, mimo nieustannego ulepszania pisma. Pismo to jednak w każdym razie musimy utrzymać, za wszelką cenę!

K. M. I.

NOWOŚCI INSTYTUTU ZACHODNIEGO POZNAŃ, CHEŁMOŃSKIEGO 1

Maria Kielczewska

O podstawy geograficzne Polski, str. 144 i 16 mapek, cena zł 200,—

Marian Friedberg,

Kultura polska a niemiecka, t. I-II, str. 363 i 310, cena za cał. zł 500,—

Alfons Klafkowski,

Okupacja niemiecka w Polsce w świetle prawa narodów, str. 196 cena zł 200,—

Bogumił Krygowski, Stanisława Zajchowska,

Ziemia Lubuska, Opis geograficzny i gospodarczy, str. 287, cena zł 300,—

Bożena Stelmachowska,

Zdobnictwo ludowe Ziemi Pyrzyckiej, 4^o, str. 34 cena zł 100,—

Donabycia we wszystkich księgarniach

Sprawy teatru

»Antygona« i »Warszawianka«

(Inauguracja nowego sezonu w Katowicach)

„Reszta jest milczeniem” — ostatnie zdanie z partii Hamleta określające bodajże najpełniej istotę tragiczności, a zarazem to, „czego już nie będzie”, wypływa jako jedno z wielu skojarzeń po wysłuchaniu „Antygony”. Mimo zastrzeżeń, jakie budziły zwłaszcza interpretacje aktorskie, nie we wszystkim dorównujące środkami wyrazu ekspresywnej głębi wielkiej poezji, wystawiona po piętnastominutowej przerwie „Warszawianka” przekraczała już możliwość należytej percepcji — była niepotrzebna. Ciężar artystyczny obu tych sztuk, siła i intensywność ich działania sprawiły, że wrażliwość odbiorcy została zasypana lawiną wzruszeń tak rozmaitych, pomieszanych i niezwykle, sięgających poza przeciętne rozumienie, że korzyść odnieśli tylko ci, którzy zdołali ocalić zdolność odczuwania. Rezygnując z możliwości rozumienia. A na to, w przeciwieństwie do „Antygony”, nie można było sobie pozwolić w „Warszawiance”. Reszta winna była pozostać milczeniem.

Tragedia — twierdzi Taine — jest poezją „mroczną jak wyrocznia, straszną jak procytowanie, wzniosłą jak wizja”; te i inne jeszcze elementy „Antygony” omówię dokładniej, lecz istota tragiczności, której — zdaje mi się — jesteśmy bliżsi niż cała estetyka od Arystotelesa po czasy niemal ostatnie, nie doczekała się opisu czy definicji umożliwiającej zamknięcie rozwiązania inscenizacyjnego w ramy ustalonej filozofii. Może na właściwy trop wpadła fenomenologiczna szkoła Husserla; Scheller podał teorię przekonywującą i, zdaje się, jedyną. Czy rzeczywiście tragiczność jest jednym z elementów świata? (Nie sposób w recenzji rozpatrywać teorematycznie, nie należy ich jednak pomijać). Słuchając „Antygony” nie słyszy się odgłosów świata. Na nic nie zdają się zawile komentarze, dopatrujące się „wiecznej aktualności” tej tragedii, doszukujące się w niej jakiejś dydaktycznej tendencji czy społecznego oblicza.

Mógłbym podać tyleż samo argumentów jej nieaktualności społecznej co i przeciwnych. „Antygona” jest ponadaktualna, „Antygona” jest mistycznym obrzędem. Temat nie został zaczerpnięty z codziennej rzeczywistości, nawet nie z historii, lecz jest udratyzowanym epizodem mitu o przekleństwie przez bogów rodzice władców tebańskich Labdakidów, a wielkość i ponadaktualność tego arcydzieła poezji dramatycznej leży w pięknie wyrazu, określającym ukryty nurt człowieczej doli i niedoli, w tragicznym pogłębieniu potęgi losu, wobec którego człowiek staje bezsilny.

„Czy jest to tylko przypadek?” — zapytuje Maeterlinck — jeśli nas ktoś zapewnia, że prawdziwie głęboka i ogólna tragedia życia zaczyna się dopiero tam, gdzie kończą się tak zwane wypadki namiętności i niebezpieczeństwa?”

Potęga „Antygony” jest słowo, a nie rozgrywająca się na scenie akcja, ruch (jak potraktował ją H. Szeletyński) słowo jedynie towarzyszy widzianej akcji, ale wyraża jej niewidzialne echo. I to należało wydobyc. Patrząc obiektywnie, nie przez zapożyczoną z obecnej sztuce nauki szkiełka dialektyki, odnajdziemy, rzecz jasna, aspekt socjologiczny, ale będzie on posiadał ten sam charakter w „Antygonie” co w każdej innej tragedii antycznej, mianowicie olbrzymi zasięg wpływu tak doraźnego jak i historycznego. Posępna atmosfera beznadziejności i fatalizmu nie ma nic wspólnego z pozytywnymi zdobyciami socjologii, ale ów oczyszczający ciężar kładący się na piersi widza, na pewno posiada socjologiczne wartości i następstwa. Niech się jednak nad tym zastanawia kto inny.

Fatalna predestynacja, każąca człowiekowi daremnie walczyć z bezlitosnym i zwycięskim — jak w każdej tragedii — losem, stawia problematykę ideową „Antygony” na płaszczyźnie etyki — z chwilą ingerencji losu, kiedy wieczne milczenie rozstrzyga wszelki spór na temat winy i kary, problematyka ideowa wchodzi w zakres pojęć metafizycznych i obie prowadzą do przekonania o bezwzględnej irracjonalności świata i praw kierujących jego biegiem. Rozum ludzki nie wytłumaczy tych praw, ale wskaże, że należy je szanować:

„Skarb, nad inne skarby drogi, to jest rozum w radzie dzielny, a nie wolno drzeć się z bogiem temu, który jest śmiertelny. Klęski nawet w późnym wieku nauczą cię rozumu, człowieku.”

„Warszawianka” urodzona — jeśli tak można powiedzieć — bezpośrednio z ducha muzyki, reprezentuje rozległą skalę nastrojów i wzruszeń, skupionych na jednym motywie, któremu na imię: Polska. Zesta-

wianie jej z „Antygoną”, mimo pewnych punktów pozornie zbliżonych, byłoby nonsensem i tylko chęcią oddania hołdu St. Wyspiańskiemu, którego imię przyjął Państwowy Teatr Śląski, można tłumaczyć wystawienie obu tych sztuk równocześnie. Maria, która w epilogu „Warszawianki” wznosi się na koturny niepotrzebnego patosu, nie jest odpowiednikiem Antygony dlatego choćby, że centralnym bohaterem dramatu jest Chłopicki.

Jeżeli miałbym znaleźć w „Antygonie” postać odpowiadającą Marii z „Warszawianki” (czyli to tylko przykładowo) wskazałbym raczej na Ismenę, która jak i Maria w zestawieniu z Chłopickim ma być projekcją i uwypukleniem wewnętrznej ewolucji swej siostry.

Nie będę rozwodził się nad ideową stroną „Warszawianki”. Jej na wskroś romantyczny rodowód czyni z tej pieśni powstańczej wybitnie polski, narodowy rodzaj dramatu lirycznego. Wszystko w niej jest pomieszane: ból, skarga, gorycz i sarkazm, gniew i duma z determinacją i rozpaczą — a wszystko to daje obraz epoki (romantyzmu), obraz niewoli, egzotyczny i jedyny obraz polskiego charakteru narodowego.

Teatr Wyspiańskiego jest teatrem plastycznym, ale w „Warszawiance” element plastyczny ustępuje miejsca muzyce. Biust Napoleona, rzucający cień ideału na posągową postać Chłopickiego, Chłopicki i Maria, Maria i Anna — to dramatyczne upostaciowanie skontrastowanych muzycznie akordów dur i mol, stanowiących tragiczny motyw „Warszawianki”.

Jeśli chodzi o ocenę spektaklu, to niestety, nie będzie ona odpowiadała kosztom Dyrekcji ani wysiłkowi zespołu, który obie te sztuki według swych najlepszych chęci opracował i zagrał. Olbrzymi wkład pracy był tak widoczny, że niedocenianie go było by więcej niż nietaktem. Kto wie, czy zbyt forsowna praca przygotowawcza nie odbiła się ujemnie na niektórych odtworzeniach premierowych. Dziwić się jednak, że w sztukach dających tak olbrzymie możliwości aktorskie, posiadających wspaniałe tradycje teatralne, żaden aktor nie zdobył się na kreację w wielkim stylu, taką, która by przeszła do historii naszej sceny.

Inszenizacja Henryka Szeletyńskiego poszła po linii udynamicznienia „Antygony” i ustąycznienia „Warszawianki”. Rzecz jasna, że rytmiczny taniec chóru i dionizyjski Tyjad nie może budzić zastrzeżeń, lecz postawienie roli Ismeny (melodramatyczne) Strażnika i Hajmona uważam za rażące.

„Urozaicenie” wejść stanowić również niechbyt szczęśliwie przełamanie obowiązującej konwencji — ale było konieczne ze względu na koncepcję dekoratora, Prof. Pronaszko ustawił w pierwszym planie stylową kolumnę, która miała chyba na celu wydobycie jednej tylko sceny, mianowicie ostrzeżenia Terezjasza, jeśli o to chodziło — muszę przyznać, że efekt został osiągnięty. Ale zepchnięcie frontonu pałacu w prawo, w kącie niemal — osłabiło ekspresję innych scen, przede wszystkim wejść Kreona i Eurydyki.

Na tle ruchliwości „Antygony” posągowa statyczność „Warszawianki” nużyła, nie znajdując usprawiedliwienia.

Aktorsko, jak już wspominałem, „Antygona” raczej zawiodła. Janina Jabłonowska w roli tytułowej była najmocniejszą pozycją tragedii. W sposób dojrzały i opanowany wygrała heroizm i ból, a przede wszystkim doskonale mówiła wiersz. Obok niej wymienić należy Tadeusza Kondrata, który partią Terezjasza pozostawił wrażenie niezapomniane. Maskę miał doskonałą, głos — to nabierał siły, to drżał w zatrważającej grozie, postać na tle kolumny wyrażała patos klątwy bogów. Dobre wcielenie znalazł zwiastun we Władysławie Scheybalu i Hajmon w Kazimierzu Witkiewiczu, Danuta Kucka (Eurydyka) po opanowaniu tremy była poprawna.

Ismena była debiutem aktorskim Cecylii Kubickówny, debiutem rokującym nadzieje — ale na przyszłość. Zdaje się, że niepełnie zrozumiała ona swą rolę, nie poznała też jeszcze sztuki mówienia wiersza, przy którym nawet starzy aktorzy kapitulują. Nie należy się więc dziwić częstemu spądaniu z tonu, wygrywaniu się „na własną rękę”. Taka rola, mocna i piękna ponosi, osłabia kontrolę, ale zadaniem reżysera jest poddanie odpowiedniego tonu i wycienianie nerwowej ostrości gestów.

Mieczysław Gielniewski w roli Strażnika stworzył świetną postać ludową, jakby żywcem wyjętą z... komedii szekspirowskiej, błaznował ile wlażyło — dziwić się, że reżyser dopuścił do tego.

Kreona wymieniam na końcu, ponieważ był najsłabszym punktem „Antygony”. Pamiętam Jana Guttnera jako doskonałego

komika, Kreona nie potrafił natchnąć drażniącym okrucieństwem tyrańca, nie mógł też sobie dać rady z wierszem, którego rytm gubił się w chrypcie i karkołomnych przeskokach przejęczyń. Kreon był największą pomyłką całego przedstawienia. Partie chóru wydały mi się opracowane bez usterek, natomiast balet Tatiany Wysockiej nie miał w sobie nic z dionizyjskiej furii i wypadł raczej błado.

Na temat świetnego przekładu Ludwika Hieronima Morstina i jego metody należałoby właściwie napisać osobną pracę. Aby nie wypowiadać frazesów, ograniczę się tylko do powtórzenia skromnego stwierdzenia autora przekładu, popartego autorytetem prof. Zielińskiego, że starał się przetłumaczyć „Antygonę” jak najwierniej. I niewątpliwą zasługą przekładu jest olbrzymie wrażenie, jakie pozostawia ta wspaniała tragedia mimo wymienionych błędów i niedociągnięć.

„Warszawianka” nie mogła już po „Antygonie” znaleźć należytego jej oddźwięku. Aktorsko właściwie wyrównana, bez słabych punktów, nie błysnęła też ani razu po-

tegą hymnu ani grozą szaleństwa. Sceny znane z historii teatru jako genialne miejsca wielkiej gry wykonane były poprawnie ale też minęły bez echa. Posągowa postać Chłopickiego w interpretacji Kazimierza Wichniarza przeżywała szarpającą burzę dramatu i wewnętrzny rozdarcia w sposób prawdziwie męski, skupiony. Talent Marii Ursyn minął się z rolą Marii; zabrakło jej bohaterskiej mocy w scenach dzwigających ją na koturny polskiej Antygony czy Kassandry.

Z ciepłem, serdecznością i sporą dozą potrzebnej naiwności przedstawiała się Anna Marii Kościalkowskiej. Szlachetnie brzmiał wiersz w ustach Młodego Oficera, oddane trafnie przez Stefana Rydla. Na szczere uznanie zasłużył Zbysław Pelc jako Skrzynecki i Marian Bielecki jako Stary Wiarus. Eugenia Kwiatkoviczowa (Pani domu), Piotr Połński (Pac) Marian Lech (Małachowski) i Jerzy Bielecki (Literat) uzupełniali poprawną całość pieśni z 1831 r.

„Reszta jest milczeniem”.

Bogdan Butryńczuk

„Zamach” Brezy i Dygata w Sosnowcu

Laureatowi „Odrodzenia”, Tadeuszowi Dygatowi nie udało się „Zamach”. Przez dwa akty pisali sobie zupełnie niezłą sztukę obyczajową z życia wojennej Warszawy operując umiejętnie postaciami kombinatorów, kanclarzy, naiwniaków politycznych i życiowych, złotych młodzieńców i lekko myślących kobiet oraz uczestników walki podziemnej. A w trzecim akcie wpadli na całego w płaski melodramat w najgorszym stylu, w ton sztuczki patriotycznej dla scen amatorskich. Zaskoczony widz śmieje się wprawdzie dalej, ale już nie z samej komedii lecz z naiwności jej autorów którzy pozardzili Brzozie „Starego dzwonu”, prześcigając się przy budowaniu finału tej dobrze zapowiadającej się komedii w stosowaniu metod i środków właściwych najtańszemu kiczowi patriotyzmu. Tchórzliwy właściciel baru, w którym „o polityce rozmawiać nie wolno” okazuje się nagle bohaterem walki zbrojnej, ściganym namiętnie a bezskutecznie przez okupanta, kapuś i prowokator wraz ze swoimi mocodawcami dyrektorem Arbeitsamtu i jego żoną, bogacą się na kombinacjach z Polakami Volksdeutscherką, zostają zakuci przez konspiratorów w kajdanki i osadzeni w piwnicy, całe niemal towarzystwo potrzaskując groźnie rewolwerami śpiewa chórem i gromko „Warszawiankę” niemal przy otwartych na ulicę drzwiach i równie gromko rzuca hasło „do lasu! do lasu!”. Nawet kompletny nicpoń, Lilka Oleska wybiera się na tę wyprawę, która zapowiada się jak majówka. Poza zasięgiem ogólnego entuzjazmu leśnego pozostaje jedynie kanalia Marczak oraz bon vivant Mytkiewicz, którym riksarz Todzio sugeruje, że będą spokojnie czekać na posady w Ministerstwie Aprowizacji przy rozdziale darów amerykańskich. W tym miejscu publiczność wybuchła śmiechem i oklaskami a za chwilę dyskretna kurtyna zakrywa wstydliwie końcowy rezultat pomyłki, jakiej uległo dwóch zdolnych, inteligentnych ale obarczonych jakimiś złymi nawykami literatów. Jesteśmy zdumieni i zaskoczeni. A przy tym rozczarowani. Już się nam zdawało, że nareszcie ktoś zerwał z nudnym wyświechtanym patosem w traktowaniu tematów okupacyjnych, że podjął się dla sceny tej ciekawej roboty jakiej doskonały przykład dał Jerzy Andrzejewski w opowiadaniu „Kukułka”. Marczak, Lilka profesor, para Niemców, Todzio Mytkiewicz to doskonałe zadatki dobrej komedii, która nie została dopisana do końca.

Reżyser sosnowieckiego teatru, p. Jerzy Rychter, miał trudną rolę przy realizacji „Zamachu”. W przedstawieniu nie było znaczącej pracy, a widziało się natomiast wiele zaniedbań, które szkodzą sztuce. Demoralizacja aktorów i nie ułatwiają bynajmniej pracy ubogiemu ale potrzebemu teatrowi, obsługującemu dąbrowskie zagłębie przemysłowe. Reżyser wystąpił

jako aktor także, tutaj stworzył bodaj najlepszą postać (dyrektora Arbeitsamtu). Niestety, nie umiał roli. Wpływ tego przekładu można było zauważyć na niektórych artystach w tym spektaklu, któremu w dniu premiery brakowało jeszcze kilku solidnych prób i dobrego reżysera, który by przede wszystkim osłabił i stonował akt trzeci, uczynił go mniej jaskrawym a przek to potrafił zapewnić powodzenie tej w swoim satyrycznym zacięciu pozytywnej sztuce, która pomimo niedociągnięć ma dane na to, żeby zdobyć popularność na scenach nastawionych na średni repertuar.

zh.

Patrzemy na ekran

A teraz parę słów o interesującej imprezie filmowej w światowej skali. Otóż w ostatnich dniach otwarto w Cannes na Rivierze, Międzynarodowy Festiwal Filmowy. Na Festiwalu tym prezentuje swoje powojenne osiągnięcia filmowe kilkadziesiąt państw, między nimi i Polska. Już w pierwszych dniach okazało się, że średni poziom prezentowanych filmów jest wysoki, tak pod względem technicznym, jak artystycznym. Na Festiwalu krytycy i producenci filmowi całego niemal świata zobaczą w sumie, w ciągu 16 dni 50 filmów pełnometrażowych, nie licząc około 70. krótko metrażówek. Przedstawienia odbywają się we wspaniałej sali „Casino” w Cannes, przy wysokiej temperaturze i wypełnionej sali. Mimo pewnych niedociągnięć w technice organizacji Festiwalu, widzowie punktualnie i gromadnie schodzą się dwa razy dziennie (przed południem i wieczorem), by nie opuścić ani jednego spektaklu. Przed południem wyświetla się 3 krótko-metrażówki i jeden film o normalnym metrażu. Wieczorem, dwa pełnometrażowe i jeden krótki, przy czym przedstawienia wieczorne przeciągają się do późnej nocy. Filmy wyświetla się w oryginalnym brzmieniu, tak jak zostały nakręcone, bez jakichkolwiek napisów objaśniających, co upodobał Festiwal do wielojęzycznej wieży Babel. Z ekranu padają słowa w językach: angielskim, francuskim, rosyjskim, szwedzkim, polskim, hiszpańskim, duńskim i włoskim. Mimo to, wszyscy uczestnicy Festiwalu doskonale rozumieją wszystko, bo chociaż ma on charakter międzynarodowy, to znajduje się wspólne słowo między nimi: Sztuka. Alba.

Korespondencja

GŁUBCZYCE CZY GŁABCZYCE?

Jako syn ziemi głubczyckiej, jako etymolog i historyk, nie mogę się zgodzić na przemianę starej nazwy Głubczyce na Głabczyce.

Głębiny tam niema, przeciwnie, miasto położone jest dosyć wysoko nad źródłami rzeki Psiny, płynącej przez północną część powiatu, a wierzchołki kościołów i ratusza miasta widne są na dziesiątki kilometrów.

Etymologicznie jest nazwa miasta oczywiście patronimikum, wywodząca się od imienia własnego. Od jakiego imienia? Mój stary profesor Drzażdżynski, który uczył w gimnazjum głubczyckim do r. 1918, wywodził nazwę trochę żłośliwie od Glupi, ale takiego imienia, chyba jeszcze nikt nie znalazł, chociaż zachodzi przypuszczenie imię rodowe Trąba.

Natomiast istnieje do dzisiejszego dnia w starej ziemi głubczyckiej imię rodowe Klubek, a w pisowni polskiej, np. w Knurówie, Chlubek.

Nazwisko praszczura Głubczyzan jest pewnie czeską formą Klubek, wszak założycielem miasta i fundatorem pięknego lasu jest ostatni król cze-ki z rodu Przemysławów, Otakar II, który w roku 1278 poległ w bitwie na polach Morawy. W ludność polskiej powiatu głubczyckiego ustaliła się od wieków nazwa miasta, założonego przez Otokara, „Głubczyce”.
Ks. Koziłek (Knurów).

Glossy i notatki

Jak to było na Mokotowie?

Szereg artykułów w prasie z pierwszych dni września br. był jeszcze jedną próbą sądu nad powstaniem warszawskim. Przy całym krytycyzmie nikt jednak nie odmówił bohaterstwa młodzieży warszawskiej. Nie należę do niej i nie zabieram głosu „pro domo sua”. Ale oto w interesującej zresztą książeczce Jerzego Pytlakowskiego „Powstanie Mokotowskie” znajduję takie słowa: „Tracąc zaufanie we własne siły. (Trzedniego dnia walki?) — przyp. mój.) Najprawdopodobniej, gdyby domy ich znajdowały się gdzieś w pobliżu, rozeszłyby się. Lecz nie mogą tego uczynić: są odcięci. Są żołnierzami bez broni i chęci do walki”.

Więc gdyby nie byli odcięci, to... Czy rzeczywiście tak było, panie Pytlakowski?

I drugie zdanie z Pańskiej książeczki (str. 28, gdy mowa o znanej piosence, którą powstańcy śpiewają w pierwszych dniach walki): „I to pewne, że więcej myśleli o teraźniejszej czy przyszłej dziewczynie, niż o ginącej Warszawie”. (sic!)

To takie pewne? W każdym razie, gdy wezmę do ręki powieść Dobraczyńskiego „W rozwalonym domu”, pewne jest, że któryś z was dwóch, Panowie, nie ma racji. Kra.

Sadyzm czy głupota?

Pisano o lodach „Paślak” w Katowicach, o reklamującej się orkiestrze „Oświadczenia”.

Chcę dodać, że te rzeczy stają się nagminne. Przejżdżając przez Nowy Bytom, widziałem na jednej z ulic wspaniale prezentujący się sztyl pewnej... knajpy, a sztyl ten wyglądał tak: malowany w niebiesko-białe pasy, po bokach dwa krwawe trójkąty z literą „P” i w środku napis „Restauracja pod...”.

Pytam: cynizm czy głupota? Gdy staramy się od długiego czasu przekonać świat, jacy byli na prawdę Niemcy i jaką gehennę przeżyliśmy my, Polacy, jakis jegożność z Nowego Bytomia reklamuje się, że nie tylko nie ma żadnego kompleksu, ale wprost przeciwnie, to przypomnienie „idzie po linii jego przyjemności”.

Proponuję któremuś z pisarzy, którzy przeszli piekło obozu, temat do pracy: Motyw pasiaka jako motyw knajpy. Kra.

Przegląd prasy

Myślę, że prasa periodyczna to jedna z mocniejszych pozycji i jasnieszyc stron naszego ruchu wydawniczego po wojnie. Nie bez słuszności wprawdzie narzeka się na wielkie rozmnóżenie się periodyków, na to, że jest wiele pism mało potrzebnych lub zgoda zbędnych, ale ta sprawa zalatwa się z czasem sama. Pisma nieważne, mało pozytywne umierać będą naturalną śmiertcią z braku czytelników a zadaniem czynników kompetentnych będzie podtrzymanie takich pism, które pomimo ograniczonego koła odbiorców, mają wartość trwałą i ze względów zasadniczych są potrzebne.

Ne wiem, jak wygoda od podszewki bytowanie miesięcznika naukowo-naukowego „ZYCIE NAUKI”, ale pismo to, choćby je czytało niewielu ludzi, należy do grupy tych potrzebnych, których los nie może być obojętny ludziom ubającym o linię rozwoju kultury polskiej. Redakcja maży o 2000 prenumeratorów, którzy potrafiliby zapewnić pismu jaką taką egzystencję bez zbytniego obciążenia budżetu Wydziału Nauki Ministerstwa Oświaty. Miejmy nadzieję, że marzeń to się spełni.

Program redakcyjny „Zycia Nauki” wypływa z twierdzenia, że „uczeni powinni brać żywy udział w kształtowaniu się prądów kulturalnych, walcząc o prymat naukowego poglądu na świat”. Pismo głosi humanizm naukowy, „wedle którego nauka jest historycznym wytworem kultury i służy jak najbardziej szlachetnemu rozwojowi osobowości człowieka z jednej strony i jak najlepszej organizacji świata z drugiej. Gdyż życie zbiorowe należy organizować naukowo tak, aby zapewnić o pełnię życia każdej jednostce ludzkiej, jednostkę zaś należy wychować tak, aby umiała organizować życie zbiorowe najlepszymi metodami, jakimi rozporządzamy, a więc metodami naukowymi”.

Ostatni zeszyt tego pisma (6 za czerwiec, bo miesięcznik ten ma poważne trudności techniczne) przynosi wśród artykułów o treści ogólniejszej rozważania prof. Kazimierza Ajdukiewicza pt. „Co to jest wolność nauki” oraz Władysława Czaplńskiego „Centralizacja czy decentralizacja humanistyki”. Prof. Ajdukiewicz ustala, że wolność nauki wymaga wolności słowa, wolności myśli, wolności problematyki i badania oraz wolności metody. Uczytnizy z stwierdzeniem punktem wyjścia swoich wywodów, w dalszym ciągu wnikiwie i sumennie analizuje te cztery wolności i określa ich sens oraz formę. Czaplński wskazuje na niebezpieczeństwa i ujemne strony emigracji naukowców z zakresu humanistyki z miast prowincjonalnych do ośrodków uniwersyteckich. W zakres specjalności wchodzi już artykuły W. Hahna „O potrzebach bibliografii polskiej”, J. Rutkowskiego „Uwagi o polskim cza:op śmiennictwie historycznym”, T. Komornickiego „Organizacja nauk rolniczych w ZSRR” oraz I. Michalskiego „Zakres i sytem antropologii”. Zeszyt uzupełnia bogaty sumiennie prowadzony dział sprawozdawczy - kronikarski. Tu m. in. znajdujemy omówienie dotychczasowej pracy Instytutu Zachodniego w Poznaniu.

Drugim potwierdzeniem zdania wyrażonego na wstępie jest krakowski miesięcznik redagowany przez Wojciecha Natansona „LISTY Z TEATRU”. Mamy więc jedno jeszcze obok „Teatru” pismo poświęcone sprawom teatralnym i to pismo interesujące, dysponujące licznym gronem poważnych współpracowników, zwracające silną uwagę na życie teatralne za granicą a w charakterze swoim i ujęciu łatwiejże w docieraniu do przeciętnego w dza teatralnego. Tytuł pisma doskonale harmonizuje z jego treścią. To są właśnie listy pisane przez ludzi teatru, literatów, artystów, krytyków, autorów scenicznych do tych, którzy się teatrem szczerze interesują i odczuwają potrzebę bliższego z nim współżycia. Nr 4 „Listów z teatru” łączy się artykułami Stanisława Estreicher, Krystyny Grzybowskiej i Stefana Flukowskiego z inauguracją sezonu w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie, gdzie wystawiono „Fantazego”. Poza tym L. H. Morstin w felietonie „Tajemnice” pisze o niespodziankach powodzeń i niepowodzeń pisarza scenicznego, W. Hahn mówi o renesansie Fredry na scenach polskich (pomijając polskie przedstawienia „Dam i huzarów”) z okazji 70. rocznicy śmierci pisarza, A. Grodzki omawia krytycznie katowicki sezon teatralny 1945/46, Z. Leśnodorski pisze o Shavie z okazji 90. rocznicy jego urodzin i pojawienia się jego sztuki na scenach polskich, Helena Wielowieyska drukuje tu fragment dramatyczny „Upadają bastyle”, nożący wyrażnie cechy charakterystyczne słuchowska radiowego. Bardzo obszerną kronikę zagraniczną poprzedza interesujący wywiad z Jose Anfią o teatrze hiszpańskim i nieprzychylnym stosunku gen. Franco do teatru, który dyktator hiszpański

stawia znacznie niżej od kina, jako że tam widzi prawdziwe okryty i drzewa a na scenie to są tylko dekoracje. Bardzo miłe powiedzonko. Ma szanse przeżyć do historii teatru.

„KUZNICA” (nr 40) stanowczo zbyt duży zaszczyt wyświadczyła Albertowi Harrisowi całostronicowym artykułem (zresztą dobrym) Jana Rojewskiego. Tego „bohatera naszych czasów” nikt nie brał przecież poważnie ani z racji jego piosenki o Warszawie, ani z racji tego, co wygaduje za granicą. Ale jego wyjazd jest naprawdę niebezpieczny. Trzeba czuwać — on tam może rzeczywiście znaleźć wariata, który pójdzie na realizację jego filmu o Polsce walczącej z piósenką o Warszawie na ustach! W tymże numerze „Kuznicy” znajdujemy orzeczenie Sądu Koleżeńskiego łódzkiego Oddziału ZZLP w sprawie zatargu Jana Kotta z Marianem Plechałem. Kott otrzymał przestrożę przed podejmowaniem wystąpień.

I jeszcze dwie małe obserwacje, do których może przyjdzie powrócić kiedyś obszerniej: od szeregu numerów widać wyraźny „spadek formy” w tygodniku „WIES”, który staje się ciężki i nudnawy, oraz znaczną poprawę w tygodniku „POLSKA ZACHODNIA”, który zaczyna nabierać rumieńców życia i rozmachu. ki.

Staropolska na Śląsku

Lat temu równo 50, redaktor wychodzącego w Bytomiu „Katolika” Adam Napieralski, doniósł mi że w powiecie namysłowskim mówią: „Tu jest Staropolska”. Napieralski rozporządzał niezrównaną organizacją „swoich ludzi”, tj. Ślązaków przejętych polskością popierających ruch patriotyczny, wywołany poświęceniem i ofiarnością ks. Radziejewskiego i jego siostry Ludwiki. Napieralski wiedział wszystko, co się na Śląsku dzieje, można o nim powiedzieć, że wiedział, jak trawa gdzie rośnie i słyszał jak co w tej trawie gdzieś piszczy. Informacje jego były pewne a ściśle. Czuwając nad nieustanną ekspansją „Katolika”, docierał w okolice, uważane od dawien zapałnie stracone. Był to istny łowca dusz polskich, rozkochany w swej propagandzie, a przemyślny i nigdy niczym nie zrażony. Abonenci w stronach Namysłowa stanowili jego radość i dumę. Nieliczni byli ledwie kilkudziesięciu, lecz on wierzył mocno, że to załazek przyszłości, o jakiej marzył i nie wątpił. Znamionem też jest fakt, że zjazdy działaczy urządził nie w swoim Bytomiu, lecz w samym Wrocławiu (sam brałem w nich udział dwa razy).

Wiadomość o „Staropolsce” była rewelacją. A gdzie „Nowa”? Zorientujemy się, przetłumaczywszy to na łacinę: będzie Polonią Maior i Minor. Tak się te dzielnice „piszą” od początku pisania w Polsce. Nazwy zgadzają się z chronologią, jak się szerzyło panowanie Piastów: ziemię od Krakowa poprzez Przemyśl i Trębowlę do Grodów Czerwieńskich (tj. do Chełmszczyzny) przypadły Piastom nieco później, stanowiąły tedy w ich państwie Polskę nową. Gdy potem zaczęto pisać po polsku, przetłumaczono z łaciny literalnie i stąd nazwy Wielkopolski i Małopolski. Małopolska była znacznie większa, lecz tak wypadło z przekładu. Trudno też byłoby nazywać „Nowopolską” dzielnicę stołeczną jakby coś opóźnionego w polskości, niby coś dodatkowego.

Wiadome są walki Władysława Nieślomnego (Łokietka) z królami czeskimi o Polskę. Jan Luksemburczyk (1310—1335), piszący się „Bohennet Polonie rex ac Lucemburgensis comes”, przynajmniej wprawdzie Łokietkowi po r. 1320 tytuł królewski

Coraz częstsze ataki niemieckie na obecną granicę polsko-niemiecką dotąd były wysuwane dla samej negacji. Ostatnio na łamach prasy niemieckiej zaczynają się już pojawiać konkretne „projekty” nowej granicy. Rzecz ja-na, że my nie możemy uznać jakiegokolwiek zmian. Obecna granica bowiem na Odrze i Nysie spełnia nie tylko doskonale zadanie obronne wobec Niemiec, do jakiego po strasznej wojnie mamy prawo, lecz również stanowi właściwą rekompensatę za poniesione ofary, zniszczenia i odstąpione terytoria. Nie wspominały tu już o argumentach historycznych, które businessmeni zachodni uważają za argumenty natury czysto subiektywnej. Jeśli zatem referujemy tu niemieckie „projekty” zachodniej naszej granicy, to nie poto, by dyskutować z nimi, lecz by dopełnić obrazu tego, co Niemcy robią i myślą.

Otóż ogłoszony przez „Frankfurter Rundschau” taki „projekt” określa nawet dość dokładną linię, która według relacji niemieckiego dziennika dzieliłby Polskę i Niemcy. Linia ta według życzeń frankfurckich polityków biegła by od Kołobrzegu, portu nad Morzem Bałtyckim, który pozostawia by Łaskawie po stronie polskiej, prosto na południe pod Głogów, stary gród naodrzański, tu dotykałaby Odry biegnąc wzdłuż tej rzeki pod Opole, skąd skręcałaby

na południowy zachód Śląska opawskiego. Obłądnym tym projektem, który na krótko tylko zaspokoiliby rewizjonistyczne apetyty Niemców, zachwyciły się od razu niektóre koła amerykańskie i artykuł na ten temat wydrukowały „New York Times”, a ekonomista amerykański James Wartburg oświadczył nawet, że „projekt” ten jest kongenialny. Gdyby Mrs Wartburg przeczytała dokładnie artykuł „Frankfurter Rundschau”, zachwył jego nie byłby taki lekomyślny. Albowiem dziennik frankfurcki pisze: „Linia ta i tak godzi boleśnie w interesy przyszłego państwa niemieckiego, zdajemy sobie jednak sprawę z tego, że musimy ponieść pewne konsekwencje obłądu Hitlera. Mamy wrazenie, że ta granica mogłaby być nareszcie granicą zgody.” (Podkreślenia moje.) Otóż to: Mamy wrazenie. Komentarz pisma jest w tym wszystkim najszerszy. Te wszystkie „mamy wrazenie”, „szczęśliwie”, „może” świadczy tylko o tym, jak nienasycony jest nowy rewizjonizm niemiecki i jak strasznie może zagrozić pokojowi świata o ile zacznie się Niemcom ufać i przyjmować ich „kongenialne projekty”. Już tam nie kongenialnego nie wymyślił naród, który wczoraj był zachlanny, a gdy go za to ukarano, dziś pragnie być mięwy. Przryk jest, że wynurzenia niemieckie na serio potraktowała pewna część prasy sojuszniczej. Głupi także jest wykrzyknik, znamionujący oburzenie przy zdaniu: „Kłódzko ma być częścią Niemiec” w 21 numerze czeskiego pisma „Argus”, omawiającego owe niektóre sprawy graniczne.

Te wszystkie tendencje niemieckie niewątpliwie nabrały śmiałości po osławionej mowie Byrnesa. My na prawdę nie będziemy z nimi dyskutowali. Wielką o tym także niektóre pisma i koła europejskiego Zachodu i Ameryki, które znają nasze interesy, potrzeby i prawa. Z tych kół także wychodzi właściwa ocena naszego wysiłku wojennego jak i prawdziwy obraz obecnej naszej rzeczywistości, naszego trudu i osiągnięć.

Jeżeli mówimy stale o atakach niemieckich na granicę na Odrze i Nysie, które mnożą się w zastraszający sposób, należy także wspomnieć o tych pozytywnych głosach niemieckich, które potrzebę takiej granicy uznają. Wielka rozbieżność zdań pod tym względem panuje ostatnio w niemieckiej partii socjalistycznej (SED). Z jednej strony pod naciskiem opinii ogólnej i niektórych członków partii jeden z jej przywódców Wilhelm Pieck musiał oświadczyć, że SED zajmie się także przyszłymi granicami Niemiec na wschodzie, co już jest w rzeczy samej kwestionowaniem granicy obecnej, z drugiej zaś cały szereg działaczy SED stale mocno na gruncie granicy obecnej. W wywiadzie radiowym z jednym z jej działaczy na terenie Saksonii, nadanym przez radiostację Lipska w dniu 11 października, padły mocne i znamienne słowa: „Obecną granicę polsko-niemiecką na Odrze i Nysie lużyckiej uważam za jedynie słuszną. Hitler wojnę poniósł daleko poza granice Niemiec a ostateczną klęskę odniósł także głęboko w sercu Niemiec, a daleko od ich przedwojennych granic. Jeśli Hitler a z nim naród niemiecki dobrovolnie wymazał z mapy Euroy swe przedwojenne granice, nie ma prawa na nie wracać i domagać się ich uznania od tych, dla których zniszczenia je przekroczył. Rzecz jasna, że nowe granice dyktować mogą tylko zwycięzcy. Kiedy dyskutowano sprawę obecnej granicy polsko-niemieckiej demokratyczne partie niemieckie jeszcze nie istniały, a naród niemiecki wciąż jeszcze szedł po „drogę Hitlera”. Nie możemy zatem pretensji do twórców pokoju, że nas nie pytano wówczas o zdanie w sprawie na tych przyszłych granic, skoro myśmy w tym czasie byli wrogami pokoju.” I jeszcze jedna wypowiedź, świadcząca o tym, że zdającą się „demokracją” niemieccy ze zdrowym rozsądkiem politycznym. Przyjeźdźcą miasta Lipska powiedział: „Obecną granicę polsko-niemiecką pragnę uważać za granicę wszystkich przyszłych pokoleń. Nie uważam, by problem wysiedleńców niemieckich z Polski miał się stać podstawą do zmiany obecnej granicy na naszą korzyść. Owszem, przyznaję, że wysiedleńcy to element niespokojny, antypolski, z trudem znajdujący nowy dom i wyekscytujący ciałem chwilę powrotu do swych starych stron rodzinnych. Ze wysiedleńcy takim są, temu winne są w pierwszym rzędzie pewne koła łaszowskie, nie pozwalające umyślnie na spokojne zorganizowanie życia wysiedleńców, utrzymujące ich w stałym ruchu, podnieceniu i opłunizmie.”

Dla nas i dla wielu rozsądnych polityków całego świata sprawa granicy polsko-niemieckiej rozstrzygnięta jest już raz na zawsze. To też niemieckie próby dyskutowania na ten temat uważać możemy jedynie za pewnego rodzaju akademickie dyskusje. Skłoniłoby ich polega jedynie na tym, że odbywają się publicznie i że dla swojej treści próbują organizować opinię polityczną zagranicą.

Od spraw polityki przejdźmy do spraw literatycznych. Informowaliśmy na tym miejscu już wielokrotnie o losach i obczu wspaniałej literatury niemieckiej oraz poszczególnych jej pisarzy. Z prasy czeskiej („Obzory” nr 37) dowiadujemy się o jeszcze jednym pisarzu niemieckim, który z czasów Hitlerowskich był wychowywany, a obecnie mieni się humanistycznie „parzem demokratycznym”. Gagatkiem owym jest Hans Watzlik, żyjący sobie, tak jak żył długie lata przed wojną, w swojej willi w Nyrku na terenie Czechosłowacji. „Kdo je Hans Watzlik?”, pytał się „Obzory” i kreślą jego ideową i pisarską sylwetkę, tak jak my to uczyniliśmy swego czasu z Hauptmannem, krótko przed jego śmiercią. Wypadki zresztą są podobne. Wprawdzie Watzlik nie ma sławy Hauptmanna i w literaturze niemieckiej i góruje w grupie pisarzy regionalnych. Za to Watzlik pisał rzeczy antyczne i dla zajęcia Czechosłowacji przez Niemców pracował również gorliwie na polu literatury jak Henlein na polu polityki. (Pod tym względem niebezpieczne są dziś jeszcze dzieła Hauptmanna, czytane gorliwie we w półczesnych Niemczech. Opisujae bowiem przeważnie krajoznaz polskich Karkonoszów napelniają serca Niemców tęsknotą za tymi ziemiami i nie pozwalają im się z nimi rozstać.)

„Obzory” cytują wiele zdań z dzieł Watzlika, jawnie antyczne i przypominają, że pisarz ten, dziś już prawie sędziwiejszy, otrzymał z rąk niemieckich dawno powieszonego protektora K. H. Franka pierwszą nagrodę literacką im. Adalberta Stiftera w wysokości 12 tysięcy koron. W zakończeniu pisma czeskiego stwierdza, że Hans Watzlik powinien iść pod sąd czeski, albowiem cała działalność jego kwalifikuje się wia nie pod sąd.

Na zakończenie — skoro już wspomnieliśmy o K. H. Franku — ciekawa wiadomość przyniesiona przez dzienniki praske. Oto na adres powieszonego protektora, który przed wojną był właścicielem księgarni w Sudetach, nadeszł list pewnej firmy wydawniczej mediolańskiej, donoszący o wznowieniu działalności i proponujący dalszą współpracę. Listonosz czeski na liście napisał: „Adresat nie znany”. Ostatecznie list dobrał do wieniana, w którym w czasie procesu znajdował się Frank, stał dopiero zwrócono go pocztę z odpowiednią uwagą. Prasa czeska pisze: Gdyby Frank był siedział spokojnie w swojej księgarni, mógłby sobie dziś spokojnie handlować z Włochami, a tak... Po polsku można by to powiedzieć inaczej: Głupi niedźwiedź, gdybyś w mateczniku siedział... wisz.

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: Wilhelm Szewczyk. Adres redakcji: Katowice, 3 Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3 Maja 12. — Ogłoszenia przyjmują Sp. Wyd. „Czytelnik”, ul. 3 Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, Katowice, 3 Maja 12. Wydawca: Sp. Wydawnicza „Czytelnik” R 22346



„S rzędana narzeczona” w Sztuttgarcie, w nowym niemiecko-anglosaskim wykonaniu w ujęciu rysownika czeskiego A. Paderlika.